Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 46 (1834) • 14–20 listopada 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

I nie będzie już nikogo

str. 8

POLSKI OBÓZ DLA UCHODŹCÓW W BUDAPESZCIE

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl bcb600a0bd

WOJNA DOMOWA

Obeszliśmy Święto Niepodległości. Głównie krokiem marszowym. Zdaniem Telewizji Republika w Marszu Niepodległości uczestniczyło 300 tys. patriotów, a zdaniem Tefałenu – 100 tys. narodowców, ale obiektywnie rzecz biorąc, ludzi było sporo. Wśród nich prezydent Nawrocki, który dziarsko maszerował w tłumie, z drzewcem flagi niedbale przerzuconym przez ramię, bo jak wiadomo, zawsze jakiś kij się przyda, gdyby szło się napierdalać. Do napierdalania nie doszło, a Nawrocki nastukał sobie punktów wśród ludu – a i tak ma ich już sporo. Według sondażu Opinia24 dla „Polityki" po 100 dniach nową głowę państwa pozytywnie ocena 53 proc. Polaków, negatywnie – 26. Nie od dziś wiadomo, że Polacy lubią mocnych ludzi, ale tempo, w jakim Karol Nawrocki zdobywa sympatię ludu, powinno dać drugiej stronie do myślenia.

W swoim płomiennym wystąpieniu prezydent ubolewał nad zanikiem wartości chrześcijańskich i zastąpieniem ich protezami obcych ideologii. Bardzo to była ciekawa metafora, zwieńczona deklaracją: „To nie nasze, to niepolskie i prezydent Polski nigdy nie pozwoli, abyśmy znów stali się pawiem i papugą narodów, bezwolnie powtarzającą to, co przychodzi z Zachodu". Tym zdaniem załatwiliśmy papugę – ale co z pawiem? Czy prezydent Polski nie pozwoli także na narodowe megalomaństwo, wszystkie te okrzyki o tym, jacy jesteśmy wielcy i wspaniali, złoci i dwudzieści na świecie, i jak Europa nas słucha z zapartym tchem – co stało się w ostatnim czasie przekazem przewodnim Donalda Tuska? Czy Karol Nawrocki wyjdzie i ogłosi: „Nie, panie premierze, jesteśmy średniej wielkości krajem Europy Wschodniej, z przeciętnym poziomem życia, ponadprzeciętną skalą nierówności społecznych i dość partykularnym rozumieniem geopolityki, którego przyjęcie rzutowałoby negatywnie na rozwój UE"? Bo jak tak, to złego słowa o Nawrockim już nie napiszemy. Jak bum tarara.

Póki jeszcze możemy: Karol Nawrocki się w tańcu nie pierdoli. Najpierw odmówił podpisania nominacji na pierwszy stopień oficerski dla 136 funkcjuszy SKW i ABW, bo szefowie służb nie przyszli na spotkanie, a później – awansu dla 46 sędziów, bo „kwestionują porządek konstytucyjnoprawny i słuchają złych podszeptów ministra Waldemara Żurka". Żurek odparował, że jest gotów głowie państwa „przyklasnąć i pogratulować", jeśli w uzasadnieniu tej decyzji napisze, że „te 46 osób przeszło przez neo-KRS, a prezydent odmówił im, dlatego że była wadliwie ukształtowana Krajowa Rada Sądownictwa". I jeszcze, że mu się przypomniało, „jak przemawiał Gomułka". Jakkolwiek cenimy status Mistrza Ciętej Riposty – dobrze byłoby opracować jakiś pozaerystyczny koncept reagowania na decyzje Karola Nawrockiego, zważywszy, że planuje tak działać przez najbliższe pięć lat. No chyba, że Tusk i jego ministrowie ograniczą się do ciętych ripost – i wtedy już za niespełna dwa lata nie będzie to ich problem.

Póki co na to mniej więcej wygląda. Wśród wszystkich ripost najbardziej ubawiła nas ta udzielona przez wiceszefa MON Cezarego Tomczyka, który usiłował wytłumaczyć red. Piaseckiemu, dlaczego min. Siemoniak zakazał szefom służb spotkania z prezydentem. Otóż wprawdzie ustawa mówi, że szefowie służb „przekazują niezwłocznie" prezydentowi „informacje mogące mieć istotne znaczenie dla bezpieczeństwa i międzynarodowej pozycji" państwa „w każdym przypadku, kiedy Prezydent tak zdecyduje" – ale to jednak nie jest tak. Albowiem – wyjaśnił Tomczyk – „w historii Polski, nie tylko jeżeli chodzi o słynny obiad drawski, ale też jeżeli chodzi o potencjalne użycie jednostek nadwiślańskich" są przykłady, „jak mogą potoczyć się różnego rodzaju sprawy". „Obiad drawski" miał miejsce w roku 1994, a nieistniejące od 2001 r. jednostki nadwiślańskie MSW nie zostały wyprowadzone z koszar, ale ponoć mogły być w odpowiedzi na listę Macierewicza w roku 1992. Przykłady p. Tomczyka są więc źdźbebko nieaktualne. A poza tym może warto przypomnieć, że za oboma tymi wybrykami stał polityczny idol jego środowiska politycznego, prezydent Lech Wałęsa.

Zbigniew Ziobro jest na Węgrzech i raczej nie planuje dać się zamknąć. Ale nie jest tak, że kompletnie olewa polski wymiar sprawiedliwości, któremu w końcu przez dekadę ministrował. Może, owszem, dać się przesłuchać przez konsula w Budapeszcie. Przygotowanie się do tego przesłuchania może konsulowi trochę zająć, bo akta sprawy liczą – jak twierdzi prok. Korneluk – 5800 tomów. W komentariacie istnieje dość zgodne przekonanie, że Ziobro do Polski nie wróci – przynajmniej tak długo, jak długo Orbán rządzi na Węgrzech. Naszym cynicznym zdaniem – byłoby to bardzo nielojalne wobec Prawa i Sprawiedliwości. Najlepsze, co Ziobro może zrobić dla prezesa, to umrzeć w więzieniu. Co skądinąd Jarosław niejako mu zasugerował: zapytany, czy Ziobro powinien wrócić do Polski, odparł: „Żeby go w istocie zamordowano?". Tak, panie prezesie, dokładnie w tym celu. Z jednej strony – zapewni to PiS-owi męczennika, który bardzo mu się przyda, zważywszy, że Paweł Adamowicz zrównoważył Marka Rosika. Z drugiej zaś strony – może lepiej, żeby proces Ziobry się nie odbył, zważywszy, że nawet Jarosław Kaczyński zwrócił mu uwagę na piśmie, że z tym Funduszem Sprawiedliwości w kampanii to idzie na rympał.

Paulina Matysiak, zwana pieszczotliwie Bestią z Kutna, została wyrzucona z partii Razem. Mamy w tej sprawie taką oto refleksję, że ponadnaturalny talent radykalnej lewicy do dzielenia się nie zawodzi. Dwa lata temu Razem miało siedmioro posłów i dwie senatorzyce. Rok później straciło oba mandaty w senacie i trzy w sejmie, ale za to dziedziczyło jeden po Krzysztofie Śmiszku, więc zachowało w miarę racjonalne koło liczące pięcioro posłów. Dziś – nieco ponad dwa lata od wyborów – liczba parlamentarzystów Razem zmniejszyła się o ponad połowę. Dla jasności: nie próbujemy bronić „Bestii z Kutna"; jej kameralna bliskość nie tylko z eksministrem Horałą z PiS, ale także z Ordo Iuris, skąd wzięła sobie adwokata, musi budzić pewne wątpliwości co do szczerości jej lewicowości. Ale dlaczego, do kurwy nędzy, jedyne, co na lewicy nie ulega atrofii – to zasada mówiąca, że im mniejsza kanapa, tym większe sekciarstwo?

Prokuratura postawiła zarzut Danielowi Obajtkowi. Zarzut dotyczy tego, że za 400 tauzenów wynajął detektywów, którzy śledzili – zdaniem prokuratury – politycznych przeciwników PiS, a zdaniem Obajtka wrogów koncernu. Z wdzięcznością odnotowujemy, że także przy tej okazji p. Obajtek o nas nie zapomniał: „I wiecie, za co mi chcą następny immunitet odebrać? Wpłynął wniosek za co? Że wyrzuciliśmy »NIE« Urbana, gdzie było bezczeszczenie krzyża, była kukła, a trzymał ją Jan Paweł II". Bardzo prosimy następnym razem znowu pokazać okładkę, jak na konferencji z prezesem na początku października.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Październik–listopad 2013 r.

Świętego Narcyza

Poseł Andrzej Rozenek przysłał do nas z wizytą przyjaźni swojego czarnego szczeniaka wielkości dużego cielaka. Dzielny pudel Azor schował się w szafie jak Passent za Hitlera i od trzech dni i nocy nie wychodzi, nie je i nie wypróżnia się, lecz tylko się trzęsie. Wielka jest moc Twojego Ruchu, co widać po psie Rozenka. Postanowiłem adoptować Azora. Jak będzie dziedziczył, nabierze pewności siebie.

Świętej Benedetty

Nasz lekarz rodzinny red. Daniel Passent odmówił dalszych usług medycznych. Przypuszczalnie zalegamy mu z honorariami jak „Dziennik Trybuna" Gadzinowskiemu. Passent jest elegantszy od Gadziny, zatem publicznie nie ogłasza, kto jest mu co winien.

Świętego Quentina

Postęp jest w Polsce niebywały. „Rzeczpospolita" doniosła na czołowym miejscu, że w ciągu 15 lat liczba księży-egzorcystów zwielokrotniła się z czterech do 120. Pomimo to nie dają sobie rady, bo aktywne diabły mnożą się jeszcze szybciej.

Ponieważ liczba urodzin dzieci spada, a szatanów wzrasta, ciekawić powinno, jak rozmnażają się diabły.

Prawicowa gazeta donosi, że w drodze rozgłosu. Przypuszczalnie dlatego celebrytki o każdym odbytym stosunku seksualnym zawiadamiają tabloidy i Pudelka.pl.

Wszystkich świętych do kupy

Z okazji konkursu do Nagrody Nike plebiscyt czytelników wygrała powieść Twardocha „Morfina" jako ulubiona. Przeczytałem. W kraju rozlega się jęk z powodu upadku czytelnictwa. Z trudem sobie wyobrażam, jak wygląda literatura nieulubiona.

Fabuła u Twardocha jest ciekawa. Bohater Willman, syn pruskiego grafa i śląskiej bogatej mieszczanki Niemki, to spolonizowany i zdemoralizowany matczyną forsą przedwojenny fircyk, obibok, morfinista i oficer. W czasie okupacji kabaretowe polskie podziemie przeznacza go jako Niemca do współpracy z okupantami. Wkrótce on sam nie wie, czyim jest gdzie agentem. Niestety z biegiem akcji autor zapomina, że bohater powieści jest morfinistą i co gorsza ów bohater też zapomina o swoim nałogu. Normalnie pije – jak każdy Polak i Niemiec. Nie wiemy, dlaczego mama Willmanowa, która synka usilnie wychowywała na Polaka i oficera, od razu po wejściu Niemców staje się szyszką władz okupacyjnych. Przeciwieństwem endeckiej żony bohatera idiotki-patriotki jest żydowska kurwa. Pycha. Tylko po co do tego jeszcze tajemnicza polska arystokratka, która nie wnosi niczego do akcji ani do malunku osobowości bohatera? Miał Twardoch pomysł na postać, to mógł ją włożyć do następnej powieści. Wreszcie, do kurwy nędzy, w roku 2013 mamy lepsze niż dziesiątki stron literatury pięknej, bo elektroniczne wskazówki, którędy z Warszawy jedzie się do Budapesztu i jak w Peszcie ulica po ulicy przejechać do Budy i Hotelu Gellerta.

My, Polska wolna jak cholera, mamy pisarzy. Jednakże w PRL w wydawnictwach siedziały redaktorki-smakoszki, które były współautorkami dzieł, a przede wszystkim obcinały nadmiary literatom, którzy jak zaczną pisać, to nie umieją przestać. Ten gatunek redaktorek wyginął wraz z socjalizmem.

Cd. Wszystkich...

Tusk uśpiony, Kaczyński pojawia się tylko na obrzędach, które urządza. Mówi, że musi mieć władzę, to wszystko naprawi i wszystkich wykończy. Szef PSL wywołuje ironiczne uśmiechy. Palikot mówi mądrze, a czyni przeciwnie. Z wszystkich liderów najbliższy męża stanu jest Miller – i to właśnie straszne.

Świętego Huberta

Skoro wszyscy chwalili bystrość, z jaką spoglądał, to dlaczego Mazowieckiego pochowano wśród niewidomych? Pierwszy raz spotkałem go w redakcji „Po Prostu" (połowa lat 50). Przyniósł wraz z Januszem Zabłockim oświadczenie, że zrywają z PAX-em. Ostatni raz, gdy jako premier celebrował przekazywanie przeze mnie Drawiczowi władzy nad telewizją i radiem. Obie okoliczności były dla mnie przyjemne, gdyż wobec PAX-u byłem wrogi, a w telewizji pracowałem niechętnie. Mazowiecki umarł w 32 lata po tym, jak będąc rzecznikiem rządu PRL, dementowałem wiadomość o jego śmierci z powodu internowania. Teraz już dementować się nie da.

Świętego Karola

Film amerykański:

– Kochanie, wychodzę, kocham cię.

– Kup makaron, kocham cię.

– Podlej trawnik, kocham cię.

– Wpierw zrobię dzieciom koktajl truskawkowy, kocham cię.

– Pa, Victoria się obsrała, kocham cię.

Rambo idzie zabić wszystkich kosmitów, a wieczorem wraca do rodziny, bo musi Rambowej coś powiedzieć.

Świętej Sylwii

Syn znajomych i jego partnerka nadali córce imię Apostazja. Chyba trzeba ją będzie ochrzcić, żeby imię się spełniło. Dziwne, że żaden plastyk nie wymyślił jeszcze znaku apostazji do noszenia w klapie i na transparentach. Ktoś mógłby na tym zrobić small-business z zapewnionym darmowym PR.

Świętej Betylii

SLD urządza uroczystość z okazji pięciolecia śmierci Mieczysława F. Rakowskiego. Pracowałem pod nim od 1961 r. do końca 1989 r. Zostałem członkiem jego rządu. Po roku 1990 przez długie lata byłem wydawcą miesięcznika Rakowskiego „Dziś". Nie zaproszono mnie. Wszyscy wybitni nieboszczycy mają w Polsce swoich właścicieli. Rakowskiego zgarnął Miller. Cóż, lepsze nawet to, niż gdyby Mietek tkwił bezpański w historii Polski. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Jarosław Kaczyński** zapowiedział kampanię informacyjną pod szpitalami. Hasło przewodnie kampanii: Polska służba zdrowia to wrak.
- **Fronda.pl** informuje, że żurkowi nie można się oprzeć. Oby potwierdził to Zbigniew Ziobro.
- **Pismo „W drodze"** przypomina, że Jezus nie potępiał posiadania dóbr. Oczywiście, Jezus był za dojeniem owiec.
- **W Żorach** zatrzymano mężczyznę, który włamał się do kościoła, zdewastował zakrystię i poczęstował się winem mszalnym. Ani chybi Mesjasz!
- Poseł PiS **Mariusz Krystian** spotkał w pociągu owcę w pieluszce. Zaskakujące, że z pociągów mogą korzystać posłowie PiS-u.
- **Krystyna Pawłowicz** w mediach społecznościowych ostrzegła, że światem rządzi już zło. Niech ktoś wezwie egzorcystę do Krysi!

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Katolickie złodziejstwo

Zastanawiam się nad tym, skąd jest tyle złodziejstwa i różnych afer w naszym kraju. I od dłuższego czasu moje myśli krążą wokół naszej religii, katolicyzmu. Czy czasami to złodziejstwo nie bierze się właśnie z niej? Nasi księża od wieków zamieszani są w różne afery finansowe. Kupczyli Polską przed zaborami, wyłudzali pieniądze i ziemię od umierających, brali czynny udział w przekrętach np: Stella Maris, salezjanie, Rydzyk... Jak twierdzi Dziwisz, 90 proc. Polaków to katolicy, bo tylu jest ochrzczonych, Mogę więc powiedzieć, że mojego pięknego metalowego koguta z ogrodu ukradł mi katolik z 90-procentową pewnością. Ułożyłem kiedyś równanie matematyczne, które oddaje prawdę o stosunkach społecznych w naszym kraju. Afera = polityk + ksiądz. Uważam, że aby nasze społeczeństwo było tak uczciwe jak np. szwedzkie, czyli ateistyczne, musimy podjąć zdecydowaną walkę o w pełni świeckie i laickie państwo z panującą nam fałszywą ideologią katolicką. Bez tego nigdy nie doczekamy się prawego i sprawiedliwego życia w Polsce. Z bogiem na ustach najlepiej jest robić przekręty finansowe. Ostatnia afera z działką 160 ha sprzedaną przez katolickich pisiorów jest tego najlepszym dowodem. Hasło naszych katolickich patriotów „Bóg, honor, ojczyzna" to taki złodziejski wytrych do państwowej kasy. Ostatnio wielki katolik Hołownia funduje sobie egzotyczne wycieczki po świecie za nasze pieniądze. My, ateiści, musimy ciężko zapierdalać, płacąc wysokie podatki, a tacy Bąkiewicze za darcie ryja z różańcem w ręku dostają od pisdzielców miliony. Mam tego już dość. Pierdolę taki katolicki układ i wyjeżdżam w końcu do mojej ukochanej Szwecji z tego katolandu, gdyż niestety nie widzę żadnej perspektywy na zmiany.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl bcb600a0bd

Potrzeba to stan braku, którego likwidacja jest niezbędna do prawidłowego funkcjonowania. Ludziom brakuje wspólnoty.

Za potrzebą

Fot. MACIEJ WIŚNIOWSKI

Zamknięte ulice już od Placu Konstytucji (tej z 1952 r., jakby kto nie pamiętał). Samochód zostawiłem pod kinem Luna i sunę z buta do Ronda Dmowskiego, gdzie ma ruszyć Marsz Niepodległości. Razem ze mną idą ludzie z flagami, opaskami z przegranego powstania warszawskiego, kotylionami, znaczkami ze znakiem Polski Walczącej, biało-czerwonymi paskami na klapach, czapeczkami z napisem „Polska" i, jakżeby inaczej, szalikami w barwach narodowych i z nazwą naszej ojczyzny.

Ludzie w większości młodzi lub w średnim wieku. Starszych nie jest wielu, choć i ich można znaleźć bez problemu. Są za to stoiska z patriotycznymi gadżetami.

– Co dla pana? – pyta sprzedawca, błyskawicznie reagujący na moje zatrzymanie się koło straganu. – Czapeczka, szalik, przypinka, kotylion – strzela słowami jak z karabinu.

Nie kupuję nic. Za godzinę będę tego żałował.

Dziecko jest, kurwa, patriotą

Już słychać rondo. Na razie dobiegają tylko oderwane słowa: „ojczyzna", „Polska", „marsz", „flagi", „biało-czerwona", czasem jakieś śpiewy. Zanim dotarłem, tło dźwiękowe zmieniło się na monotonnie recytowane modlitw. Długich. Tłum słuchał, choć słów nie powtarzał. Dzięki legitymacji dziennikarskiej udało mi się nieco wcześniej sforsować szczelne barierki i takież kordony policji z ochroniarzami.

Gdy już docieram do środka zgromadzenia, wątek religijny się kończy, zaczynają przemówienia przeplatane muzyką, polskim rapem. Przeglądam transparenty, bo z nich zawsze można się czegoś dowiedzieć o nastrojach manifestantów. Obóz Narodowo-Radykalny trzyma baner „Bij kacapa w każdej postaci, bo to jest twój największy wróg", zaś Autonomiczni Nacjonaliści zamaskowani po same uszy skromnie się reklamują: „Europa Młodość Rewolucja". Podpis: „White Boys Gdańsk" i jeszcze jakiś gotykiem.

Wątki rosyjskie, żeby być sprawiedliwym, nie były nadmiernie eksponowane. Jeszcze tylko jakaś garść fotografii polityków PRL w towarzystwie portretu Putina i oskarżenia o zdradę, i to w zasadzie wszystko. Dziś na tapecie jest patriotyzm.

Morze flag. Wszędzie biało-czerwono. „Biało-czerwone to barwy niezwyciężone!" – ogłasza raz na jakiś czas platforma prowadzącego samochodu. Poza tym „Tu jest Polska!", tradycyjne „Cześć i chwała bohaterom!". Rzadko intonowano „Precz z komuną" oraz „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!" – ale zdarzało się. Może to i dla rozgrzewki, bo stoimy i czekamy, aż się wszyscy ważniejsi zbiorą i staną jeszcze bardziej na czele niż pierwszy szereg manifestacji. A tak, tak, Wasz wysłannik był w pierwszym szeregu. Nieledwie obok Tarczyńskiego i jego kompanii, którzy spóźnieni przepychali się, prowadzeni przez Straż Marszu.

Zanim ruszymy, patrzę i zagaduję stojących obok ludzi.

To nie jest obserwacja pretendująca do naukowej, ale moje impresje są takie oto: obok mnie stoją środowiska – nazwijmy je patriotycznymi. Akurat tak się złożyło, że otoczony jestem ludźmi w młodym i średnim wieku. To dorodny fizycznie gatunek. Rośli, wysocy, dobrze zbudowani, takież dziewczyny. Zdrowi. I agresywni. Oczywiście, trudno być pełnym savoir vivre'u w tłumie, kiedy wszyscy ci siedzą na plecach, ale niesłychany poziom agresywnych artykulacji jest świadectwem stylu obowiązującego w tym środowisku.

– Przejdź z tym wózkiem trochę na bok, pod ścianę, bo nie daj Boże jakiejś ruchawki, to nieszczęście gotowe – mówię do młodego idioty, który z wózkiem z dzieciakiem zameldował się w samym środku tego tłumu.

– Co, kurwa?! Będę stał, jak chcę. Ja jestem patriotą, kurwa, dziecko jest patriotą, mam, kurwa, prawo.

– Masz. To stój, kurwa, gdzie chcesz.

Frustracja łączy ludzi

I w takim mniej więcej stylu toczyły się tam dialogi. Nie wszystkie oczywiście, ale duża ich część.

Ta agresja to styl, jak wspomniałem, ale też wynik czegoś innego. Frustracji. Oni wiedzą, że coś jest w ich świecie nie w porządku. Że coś im umyka, a oni przegrywają. Nie odpowiedzą dokładnie dlaczego, próżno szukać w nich inspiracji do socjologicznych szkiców o budzącej się świadomości. Nic z tych rzeczy. Po prostu są wściekli i tę wściekłość demonstrują. Tusk jest symbolem przyczyn tego złego, co ich uwiera, i dlatego można znaleźć kilkanaście obelżywych banerów pod jego adresem.

Rzecz jednak nie tylko – czy nie przede wszystkim – w antyrządowej narracji. Czują, że nawet nie Tusk jest początkiem i końcem celu ich wściekłości. To coś więcej: świat, który ich nie pyta o zdanie, tylko mówi, co będą robić, albo nakazuje, by robili, co trzeba. Nawet tłumaczy, dlaczego, ale mówi to takim językiem, że nikt nie rozumie, albo podaje teksty, w których traktuje ich jak gorszy, głupszy gatunek. Więc reagują furią.

Charakterystyczne, że w tłumie (160 tys., może więcej – nikomu to nie daje do myślenia?) znalazły się znaki związków zawodowych. Górniczych, ale nie tylko. Chyba po raz pierwszy od 1989 r. widzę tak różnorodne związki ramię w ramię ze skrajną i radykalną prawicą. To naturalne. Przyszli tam, gdzie ktoś ich rozumie, gdzie ktoś ich chce wysłuchać i obiecuje wziąć w obronę. Nieważne, że związki zawodowe z racji swych interesów były i być powinny sojusznikiem lewicy. Ale w sytuacji,

gdy lewica demonstracyjnie abdykuje z obrony interesów ludzi pracy, pieprzy jakieś kocopoły o zielonym ładzie, będącym w gruncie rzeczy zielonym kapitalizmem, który tak samo będzie dymał pracowników, tylko w zielonym kolorku, to dokąd pójdą ludzie pracy? Tutaj. Na Marsz Niepodległości.

By połączyć się w okrzykach przeciwko wynaradawianiu, biednieniu społeczeństwa, Unii Europejskiej, a przy okazji przeciwko uchodźcom, imigrantom i wszelkim innym. Hańba dla lewicy to mało powiedziane. To nad wyraz widowiskowe samobójstwo tej żałosnej grupy. Po której nikt nie będzie płakał.

No i poza tym we wszystkich tych ludziach jest właśnie dlatego potrzeba bycia razem, zademonstrowania, że jest ich wielu, że nie dadzą się stłamsić i odrzeć z godności.

Kiedyś te nastroje świetnie wyczuł Kaczyński i wziął władzę. Dziś doskonale je rozumie prezydent Nawrocki, który zresztą był niezaprzeczalnym politycznym zwycięzcą tegorocznego Marszu Niepodległości.

Łajno spod Łokietka

Po Tarczyńskim na czoło przepychały się motocykle. Ludzie się rozstąpili, przyjaźnie machając. Potem były konie, na których siedzieli jeźdźcy, przebrani za królów Polski. Na czele Chrobry, potem Łokietek i inni. Tłum się rozstępuje ponownie, ludziom się to podoba, intonują hymn, wszyscy śpiewają, koń bodajże Łokietka w tym momencie sra z wdziękiem, wywołując falę radości. Konnica przejechała, jeszcze chwila, ruszamy.

Pod domem handlowym Vitkac stoi kilku zamaskowanych młodych ludzi, z narzuconymi na ramiona czyściutkimi, świeżo pobranymi z magazynu polskimi flagami, naciągniętymi na czoła kapturami od takich samych dresów z żółtymi wstawkami. No nawet niewprawne oko bez pudła pozycjonuje ich jako policjantów po cywilnemu. I tak też reagują manifestujący, wskazując palcami.

– Uważajcie, kurwy policyjne, prowokatorzy, będą robić zadymę!

Kilkaset metrów dalej, już koło Muzeum Narodowego, czujny jak ważka młody człowiek z okiem sępa ścierwnika krzyczy, pokazując na człowieka w czarnej odzieży koło mnie: – E, uważajcie, prowokator pierdolony, stoi tu, zobaczcie nie ma żadnej flagi ani patriotycznych znaczków, uważajcie.

Ludzie patrzą bez sympatii, a część z jawną wrogością, a mnie, stojącemu obok, robi się zimno, bo też nie mam żadnego patriotycznego oznaczenia. Trzeba było kupić na tamtym straganiku. Ale jakoś udaje mi się rozpłynąć w tłumie. A do tamtego nieszczęśnika stojącego z boku ten sam demaskator mówi: – Nie bój się obronimy cię, jakby cię chcieli napierdalać.

Jakoś nie widać, by to go pocieszyło.

Marsz znika na moście, by rozlać się na błoniach wokół Narodowego. Tu widać siłę i moc tej imprezy. Ludzie to czują, Nawrocki to wyczuł.

A Tusk pojechał do Gdańska.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Między odwetem a sprawiedliwością

Też chętnie bym zobaczyła Ziobrę w pierdlu, ale…

Tytułem wstępu: Zbigniew Ziobro to wyjątkowa kreatura. Posunę się nawet do twierdzenia, że gdyby nie Ziobro i jego hunwejbini dewastujący wymiar sprawiedliwości – bilans rządów PiS mógłby być oceniany inaczej. Wyraźna obrzydliwość prowincjonalnego, mizoginicznego katonacjonacjonalizmu mogłaby być zrównoważona przez zdobycze społeczne: wzrost płacy minimalnej, wprowadzenie minimalnej płacy godzinowej, 500 plus, które uwolniło setki tysięcy rodziców – przeważnie samotnych matek – od konieczności akceptowania pracy na każdych warunkach i za każde pieniądze. Pożar w burdelu, jaki ziobrzyści urządzili w wymiarze sprawiedliwości, wyeliminował tę opcję.

Co powiedziawszy: mam jednak niejakie wątpliwości co do obecnego polowania na Ziobrę urządzonego przez ministra Żurka.

Przede wszystkim – i wybaczcie pamięć słonia – Platforma Obywatelska miała szansę usunąć Ziobrę z polskiego systemu politycznego ponad dekadę temu. Wtedy, kiedy komisja śledcza pod kierownictwem Ryszarda Kalisza wystosowała wniosek o postawienie Ziobry przed Trybunałem Stanu w związku ze śmiercią Barbary Blidy. Do jego przyjęcia zabrakło pięciu głosów, w tym premier Ewy Kopacz i Radosława Sikorskiego, a także ówczesnych koalicjantów PO z PSL: wicepremiera Piechocińskiego i Waldemara Pawlaka. Dowody przeciwko Ziobrze były bardzo mocne, dotyczyły politycznego manipulowania śledztwem przeciwko Blidzie przed jej śmiercią i po niej, a także okłamania sejmu. Premier Kopacz ogłosiła wówczas nieco lekceważąco, że miała akurat ważniejsze sprawy na Pomorzu, a zresztą „nawet gdyby była, to by i tak czterech głosów brakowało" – i generalnie trudno się było oprzeć wrażeniu, że obu partiom rządzącym nieszczególnie zależało na postawieniu Ziobry przed trybunałem. Bo w końcu – i taka zasada obowiązywała w polskiej klasie politycznej przez pierwsze ćwierćwiecze III RP – jak my ich dziś, to jutro oni nas, lepiej nie ryzykować. Otwarte pozostaje pytanie, jak zachowałyby się PO i PSL, gdyby to ich prominentny polityk nie przeżył spotkania ze ziobrzystowskimi służbami. Być może wtedy uznaliby możliwość wyeliminowania Ziobry z polityki za wartą uwagi – i cały ten hunwejbiński rajd po wymiarze sprawiedliwości by się nie odbył? Pewnie, Jarosław Kaczyński także bez Ziobry zapewne próbowałby majstrować przy sądach i prokuraturze – ale fakt, iż zostało to uczynione łomem i kafarem, to jednak jest „efekt Ziobry".

Mam też, wyznam szczerze, poważne wątpliwości co do używania paragrafów wymierzonych w zorganizowaną przestępczość do karania działań, które miały charakter stricte polityczny. To cyniczna manipulacja objawiająca brak szacunku dla ducha prawa i intencji ustawodawcy. Wprawdzie to pisowski IPN był pionierem tego typu zagrywek, oskarżając członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego o przynależność do „związku przestępczego o charakterze zbrojnym" – ale to, jako żywo, nie jest wzór do naśladowania.

Kłopot polega jednak na tym, że przestępstwa, które Ziobro w istocie rzeczy popełnił – tzw. przestępstwa urzędnicze polegające na przekroczeniu uprawnień lub niedopełnieniu obowiązków – traktowane są przez kodeks karny zgoła niepoważnie, z maksymalną karą trzech lat i przedawnieniem po pięciu. Istnieje co prawda zapis pozwalający na podniesienie kary do lat 10, jeśli celem działania było „osiągnięcie korzyści majątkowej lub osobistej" – ale dobrze by było nadać mu precyzyjny charakter, bardziej dostosowany do dzisiejszych realiów politycznych. Może wprowadzić jakiś tryb kwalifikowany dla członków rządu i szefów urzędów centralnych – bo kategoria „funkcjonariusza publicznego" jest cokolwiek za szeroka i nadużycia prezesa rady ministrów nie powinny być mierzone tą samą miarą co zaniedbanie młodszego referenta w urzędzie gminnym.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wątpliwość budzi też całkowite olanie Trybunału Stanu. Owszem, TS, dzięki staraniom dwóch byłych polityków PiS, nie poradził sobie z immunitetem Manowskiej – ale założenie, że wobec powyższego nie warto nawet próbować dochodzić odpowiedzialności konstytucyjnej wobec kogokolwiek, wydaje się kompletną kapitulacją. Warto przy tej okazji przypomnieć, że nieprawdą jest, iż TS może jedynie pozbawiać praw politycznych: zgodnie z art. 26 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym za przestępstwo lub przestępstwa skarbowe orzeka on „kary lub środki karne przewidziane w ustawie".

Trybunał Stanu ma zaś tę przewagę nad sądem karnym, iż prezydent nie ma prawa łaski wobec skazanych przez TS. Jakikolwiek wyrok skazujący wobec Ziobry zostanie natychmiast skasowany przez prezydenta – co jego rzecznik zapowiedział mniej więcej wprost w Radiu Zet: „Pan prezydent uważa, że próba postawienia zarzutów ministrowi Ziobrze to polityczna hucpa", a środki z Funduszu Sprawiedliwości były wydawane „w sposób transparentny" oraz „zgodny z prawem"… Inaczej mówiąc, ewentualny czas, który Ziobro przesiedzi w śledztwie – to jedyne więzienie, jakie go czeka. Stąd zapewne skierowany do sejmu wraz z zarzutami wniosek o zgodę na aresztowanie. Z tym że

areszt tymczasowy nie jest karą – o czym bardzo głośno krzyczeli wszyscy obrońcy praw człowieka, kiedy ziobrowa prokuratura wsadzała kogo się dało. Dobrze by było mieć lepsze standardy niż facet, którego ścigamy za niszczenie wymiaru sprawiedliwości.

Szkód, jakie działalność Zbigniewa Ziobry wyrządziła państwu i obywatelom – nie sposób przecenić. Mnie akurat szczególnie oburza coś, o czym w zasadzie nikt nie mówi: szczucie na więźniów, programowe pogarszanie warunków w więzieniach, likwidacja pomocy postpenitencjarnej, będącej wszak jednym z dwóch podstawowych zadań funduszu, którym Ziobro tak swobodnie dysponował. Choćby z tego powodu chętnie zobaczyłabym Zibiego pod celą, wśród facetów, którymi wycierał sobie gębę jako minister sprawiedliwości. Ale nie jestem pewna, czy dla tej satysfakcji warto do ziobrowych szkód dokładać psucie państwa prawa na potrzeby czegoś, co w oczach wielu ludzi może wyglądać na zwykłą zemstę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl bcb600a0bd

Popcorn

PLURALIS MAIESTATIS

Wsadzić Ziobrę, czy nie wsadzić?

Trzeba będzie się zrzucić na bilety do teatru – dla części parlamentu i dla rządu. Koniecznie na spektakl ze scenami nożowania. Chociaż jedną. Musicie sobie, Państwo Rządzący, popatrzeć, jak to nożowanie się gra. Spojrzeć na noże. W kluczowym momencie ostrze chowa się do środka. Nikt nie chce prawdziwej juchy na scenicznych deskach. Polityka to teatr, a Wy, Państwo Rządzący, wyciągnęliście prawdziwe ostrza. I to się zemści na nas wszystkich pozostających w tym nieszczęsnym kraju nad Wisłą. A, i jeszcze jedno: Premierze Tusk, żeby wtopy nie było, do kina może Pan pójść z michą popcornu. Do teatru nie wypada.

Obszyliście Ziobrę, Drodzy Rządzący, macie umiejętności bałuckiej niewykwalifikowanej szwaczki szyjącej na dzikusa. Na szyi Ziobry jest świeży szew po operacji poszerzenia przełyku. Brzydki on, ale ładniejszy od tego, który Wy, Drodzy Rządzący, stworzyliście. Było przypilnować, że jak szyje góra, to od szycia wstrzymuje się partyjny plankton.

Kradną ci na górze, kradną ci na dole. Kradnie salon i kradnie szambo. W rezultacie państwo zbankrutowało. Państwo jest bankrutem, ale licytacja polityczna zyskuje na wartości. To co Pan, Panie Premierze, odpierdala, byłoby ryzykowne już dwa lata temu. Wtedy było chujowo, ale nikt się nie spodziewał, że w przyszłości będzie aż tak chujowo. A każdy dzień jest gorszy – nie tylko dla zwykłego obywatela RP. Jest gorszy i dla opozycji, i dla Pana, Premierze Tusk z całą wesołą kompanią. Coraz więcej rodzin dowiaduje się, że tatuś został bezrobotny, mamusia może wykitować na raka, siostra ma w perspektywie rodzenie na SOR, a brat zimowisko zobaczy jak świnia niebo. Proszę zauważyć, że nie piszę o skrajnościach społecznych – o ludziach, którzy zdychają z głodu. Oni już są praktycznie martwi i nie mają dostępu do internetu. A ja chcę pisać o tych, którzy jeszcze mają i mieć będą. Sęk w tym, że klikanie w internet, aby sobie spuścić z krzyża, może im przestać wystarczać. Radujmy się, że Polacy raczej temperamentni nie są. Do czego chce Pan doprowadzić, Premierze? Chce Pan mieć majdan na wiosnę? Marzy się Panu Polska Wiosna?

Pana zwolennicy w necie odreagowują teraz wygraną Nawrockiego, nieprzeliczenie ponowne wszystkich głosów, ale i niespełnienie obietnic – Pańskich. Rozczarowanie, złość na Pana wylewają na komputerowe klawisze. Paluchy się na nich ślizgają, bo już umoczone w urojonej krwi Ziobry. Chwała Bogu, że Ziobro do sejmu nie przyjechał. I to nie tylko dlatego, że póki zipie, to niech zipie i walczy – jest odpowiedzialny nie tylko wobec państwa, jest odpowiedzialny wobec swojej żony i dwóch synów. Jako kobieta twierdzę, że to jest jego pierwsza powinność. Gdyby Ziobro przyjechał i byście go zwinęli, a tłum zaryczałby jak lwy pod niebiosa, to pazur daję sobie obciąć, że na fali entuzjazmu sięgnęlibyście szerzej, ale i niżej. Bo co Wam szkodzi? Inna opozycja mogłaby za jakiś czas wspominać obrazki z internowania. Ale tym razem nie byłoby koniaków i czekolady. Opozycją zaś w tym kraju jest ten kogo Wy, Tusk, z resztą KO nazwiecie opozycją. Asesorem prokuratorskim – ten, kogo Wy nazwiecie asesorem prokuratorskim. Prokuratorem – ten, kogo Wy nazwiecie prokuratorem. A sędzią – od czasu wybrania Żurka na guru Ministerstwa Sprawiedliwości – ten, którego Wy nazwiecie sędzią. Reszta – na pole, pomiędzy wróble. I niech się martwią, za co pospłacają kredyty i że właśnie spuścili w klopie swoje kariery. Ja nie oczekuję od ludzi bohaterstwa, nawet maleńkiego. Pan, Premierze, siedzi w polityce całe dekady i Pan wie, że nie ma co od nich bohaterstwa oczekiwać. Co wszakże nie przeszkadza na wszelki wypadek otoczyć się pluskwami. Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Bodnara skręcało na to, co robicie na granicy z Białorusią z nielegalnymi imigrantami, jednak trzymał dziób i starał się robić swoje tak, żeby nie wyjebać wszystkiego w kosmos, nie zantagonizować ostatecznie środowisk prawniczych, nie rozwalić sądów do cna, nie postawić zwyczajnego obywatela w sytuacji, kiedy może on sobie kartkami z k.p.k. wytapetować pokój. To wzięliście Żurka. Mało tego – jak napisałam na początku – nie tylko zaczęliście się bawić w kłamliwe spektakle à la Szłapka, to jeszcze wzięliście prawdziwe noże zamiast atrap. Tak jak pieniądz nie lubi hałasu, tak polityka nie lubi światła. I tak było, od kiedy narodził się polityk, a polityk narodził się wcześniej od bankiera, a śmiem twierdzić, że nawet wcześniej od kurwy.

Jednak popieram głos Konfy, która wyraźnie mówi, że jest przeciwko znoszeniu imunnitetów. Wybory są co cztery lata, nie co 40. Wyborca sam zdecyduje co do losów posła. Co nagle, to po diable. Popieram to, że razemici nie głosowali za tymczasowym aresztowaniem Ziobry. A uściślając, że nie wyrazili zgody na to, aby sąd zajął się deliberacją nad tym, czy wpakować Ziobrę do paki. Gdzie by umarł – nie czarujmy się. Tym razem nie chodzi mi jednak o miłosierdzie, tylko o bardzo wątpliwą konstrukcję prawną.

Parlamentarzyści postanowili większością głosów wykopać Ziobrę poza swoją kastę. Durne to – oprócz tego, że świniowate – ale OK. Nie ma immunitetu? Nie ma. To po chuja jeszcze kolejne głosowanie à propos tymczasowego aresztowania, takie z trefnym wynikiem?

Dla propagandy? Dla głosów wyborców? Dla wsadzenia łba z wazeliną w odwłok Tuska? Będziecie wycierać ręce Piłata wnioskiem prokuratury? Ejże! Jesteście władzą ustawodawczą, nie sądowniczą. Przeczytajcie ze zrozumieniem art. 105 pkt 5 Konstytucji RP: „Poseł nie może być zatrzymany lub aresztowany bez zgody Sejmu, z wyjątkiem ujęcia go na gorącym uczynku przestępstwa i jeżeli jego zatrzymanie jest niezbędne do zapewnienia prawidłowego toku postępowania. O zatrzymaniu niezwłocznie powiadamia się Marszałka Sejmu, który może nakazać natychmiastowe zwolnienie zatrzymanego”. Przeczytaliście uważnie? Parlamentarzyści, gorliwie wywaliliście do kosza nie jeden, a dwa kryjdupce, które są po to, abyście mogli bezpiecznie, a nawet swobodnie nie tylko kłapać dziobami, ale wykonywać Waszą robotę, czyli tworzyć prawa. Tworzenie praw to jest rzecz ogromnie szlachetna. Nurkowanie w szambie – nie. Trzeba było wyjąć z czytników karty do głosowania. Jak razemici. Poseł Razem Maciej Konieczny powiedział w Polsat News: „Jestem przekonany, że jeżeli funkcjonariusza publicznego zamyka się bez procesu, a do tego jeszcze pojawiają się wątpliwe opinie medyczne, to nie jest standard procedowania w państwie prawa, za który byłbym w stanie podnieść rękę”. Nic dodać, nic ująć.

Posłowie koalicyjni, aż tak lubicie popcorn? To módlcie się, żeby po zrobieniu owego popcornu Tuskowi trochę masła zostało, bo jak będzie Was walił w dupę bez masła, to będzie bolało. Tym razem nie zapraszam do teatru, a do kina – „Ostatnie tango w Paryżu”, Bernardo Bertolucci. A Pana, Ministrze Ziobro przepraszam, że napisałam kiedyś o Panu: „nieumierający Ziobro”. Dziś mi z tego powodu po prostu, kurwa, wstyd.

IZABELA SZOLC

Publiczna opieka zdrowotna pod kroplówką

Droga krzyżowa NFZ

Stało się to, co przewidywaliśmy w „NIE” od miesięcy: system ochrony zdrowia spektakularnie się rozkraczył. Mainstreamowe media prześcigają się w doniesieniach o przekładanych zabiegach i zawieszonych programach medycznych. Ministerstwo Zdrowia gorączkowo próbuje gasić pożar w burdelu benzyną, przy okazji robiąc wiatrak z opinii publicznej.

Inflacja wkurwienia

Gdański szpital Copernicus do grudnia wstrzymał nabór nowych pacjentów do programów lekowych nieonkologicznych. Na ograniczenia w tym zakresie zdecydowało się również Uniwersyteckie Centrum Kliniczne Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Na dokładkę stołeczna lecznica przekłada planowe hospitalizacje na przyszły rok. Podobne sygnały płyną z innych ośrodków medycznych w różnych częściach kraju. Powód jest jeden: brak zapłaty od Narodowego Funduszu Zdrowia za ponadlimitowe wykonania procedur medycznych. NFZ otrzymał dodatkowe pieniądze z państwowego paśnika, ale dziura do załatania wciąż jest gigantyczna. Naczelna Izba Lekarska poinformowała, że część szpitali zaczyna ograniczać nawet świadczenia, które teoretycznie nie podlegają limitom, bo niektóre placówki zwyczajnie utraciły możliwość kredytowania. Aby zachować płynność finansową oraz realizować bieżące zobowiązania, szpitale muszą się posiłkować kredytami obrotowymi, co przekłada się na kolejne wydatki w postaci spłaty odsetek.

Świadczenia limitowane to w szpitalnictwie m.in. ortopedia, kardiochirurgia, a także wspomniane programy lekowe i transplantologia. Ich liczbę określa kontrakt, jaki NFZ podpisuje z daną placówką. Wysokość wycen za procedury ustala się na podstawie koszyka świadczeń NFZ. Równocześnie w umowach z NFZ szpitale mają zapis o obowiązku kontynuowania leczenia pacjentów nawet po przekroczeniu wartości kontraktu. Wskutek tych zabiegów powstają słynne spirale długów.

Dyrektorzy lecznic zaciągają hamulce, pacjenci dostają wkurwu, a Ministerstwo Zdrowia, robiąc durni z jednych i drugich, półgębkiem proponuje rozwiązania, od których może zmarszczyć się dupa.

Do dna

Luka budżetowa wynosi w tym roku około 14 mld zł. Ten sukces ma wielu ojców. W 2021 r. rząd PiS w ramach Polskiego Ładu uchwalił ustawę wprowadzającą minimalne nakłady na ochronę zdrowia na poziomie 7 proc. PKB – docelowo do osiągnięcia w 2027 r. Dla porównania, poprzednia ustawa z 2017 r. (również uchwalona przez PiS) przewidywała stopniowy wzrost do 6 proc. PKB dopiero w 2024 r. W praktyce przed 2021 r. Polska przez wiele lat utrzymywała finansowanie sektora zdrowia na poziomie 4,5–4,9 proc. PKB, co było najniższym wynikiem w całej UE (ex aequo z Łotwą). Mogłoby się zatem wydawać, że pisowski rząd poważnie przysiadł fałdów nad próbą rozwiązania problemu. Niestety, tylko pozornie.

Aktualnie Polska wydaje 6,4 proc. PKB na ochronę zdrowia (źródło: WHO GHED via Bank Światowy 2022 r., ostatnia aktualizacja – maj 2025 r.), zajmując tym samym drugie miejsce w zestawieniu odsetka produktu krajowego brutto wśród wszystkich krajów Unii Europejskiej, niestety od końca tabeli. Niżej jest tylko Luksemburg, ale warto pamiętać, że jego PKB jest najwyższe w UE, a wartość nominalna na mieszkańca wynosi 106 556 dol. W Polsce PKB w przeliczeniu na obywatela wynosi 25 023 dolarów. Jak widać, różnica jest spora, a to nie koniec niespodzianek.

Polski rząd biegły w kreatywnej księgowości, planując wydatki na ten szczególnie newralgiczny obszar funkcjonowania państwa, od lat stosuje pewien niespotykany na skalę europejską trik, tzw. wzór n-2. Co to oznacza? Ano to, że odsetek PKB, który Polska przeznacza na zdrowie, ustala się nie tak jak w innych krajach Unii Europejskiej na podstawie bieżącego roku, tylko według PKB sprzed dwóch lat. Dlaczego? Rząd PiS tłumaczył to „stabilnością planowania”, bo GUS podaje ostateczne PKB z opóźnieniem ok. dwóch lat. W efekcie metoda sztucznie zawyża deklarowany procent nakładów w stosunku do rzeczywistej wielkości gospodarki, zaniża realny poziom niedofinansowania ochrony zdrowia, opóźnia reakcje na inflację i wzrost gospodarczy, i – cóż za zaskoczenie – umożliwia propagandę sukcesu. Dzięki temu Polska może i lepiej wygląda w krajowych komunikatach, ale znacznie gorzej w rankingach Eurostatu i OECD.

Tym samym cel mitycznych 7 proc. PKB na zdrowie według krajowej metody może być osiągnięty w 2027 r., ale według standardów między-

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl bcb600a0bd

Nawrocki szyty na miarę

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie milkną echa kolejnej pyskówki między pałacem prezydenckim a kancelarią premiera. 7 listopada Donald Tusk poinformował, że prezydent Karol Nawrocki nie podpisał promocji na pierwszy stopień oficerski dla 136 funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Po spektaklu wzajemnych oskarżeń i przeciągania liny między obozami politycznymi nasuwa się jeden wniosek: projekt „Nawrocki" ma się świetnie.

Zgrzyt kontrolowany

Manewr beniaminka prawicy wywołał falę spekulacji i wzajemnych oskarżeń między przedstawicielami rządu i prezydenta, których areną stały się media społecznościowe. Premier Tusk ocenił, że działanie Nawrockiego to „dalszy ciąg wojny prezydenta z polskim rządem". Karol Nawrocki zarzucił premierowi, że na jego polecenie szefowie służb specjalnych mają zakaz spotykania się z prezydentem. – Odmówiono udzielenia istotnych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa przedstawicielowi prezydenta podczas posiedzenia Kolegium do Spraw Służb Specjalnych. Odwołano cztery moje spotkania z szefami służb. To właśnie na nich miały zostać omówione kluczowe kwestie dla bezpieczeństwa Polski. Miały też zapaść decyzje dotyczące nominacji oficerskich – powiedział Nawrocki w nagraniu opublikowanym na platformie X.

Korbę absurdu podkręcił szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz podczas rozmowy z RMF FM. Zaprzeczył, że prezydent odmówił nominacji dla oficerów SKW i ABW, bo to, jakie miały być nominacje i kiedy miało dojść do ich nadania, miało być przedmiotem rozmów z szefami służb, którzy nie przyszli na spotkanie. Naturalnie z winy Tuska. To gówno prawda.

Pierwszy stopień oficerski nadaje w Polsce prezydent na wniosek ministra obrony narodowej lub ministra spraw wewnętrznych i administracji (w przypadku podległych mu służb). Zwyczajowo tego typu wnioski są kierowane do Kancelarii Prezydenta każdego roku w okolicach 11 listopada. Formuła procedury jest prosta jak budowa cepa: kandydaci kończą kursy, zdają egzaminy, a szef służby wnioskuje o pierwszy stopień oficerski, prezydent podpisuje i święto. Oczywiście może odmówić podpisu, i tak się właśnie zdarzyło pierwszy raz w historii. Szef służb Tomasz Siemoniak nazwał ruch Nawrockiego „ciosem w system bezpieczeństwa państwa i uderzeniem w ludzi chcących służyć Polsce". Z racjonalnego punktu widzenia może się tak wydawać, choć wbrew pozorom to nazbyt daleko idące wnioski.

Prezydent po prostu skrupulatnie odgrywa powierzoną mu rolę. Nawrocki wykorzystuje każdą sytuację, kiedy może rzucić kłody pod nogi rządu, a najlepszą ku temu okazję ma wtedy, kiedy podejmuje decyzje, które nie wiążą się bezpośrednio z czymś, co może dotknąć zwykłych zjadaczy chleba. Tańce wojenne na linii prezydent–premier mają jeszcze jeden cel: Karol Nawrocki i skupieni wokół niego ludzie pokazują, że chcą, aby to ośrodek prezydencki odgrywał główną rolę w sprawach bezpieczeństwa i żeby tam było jak najwięcej kompetencji. To zresztą żadna tajemnica, intencji tych zabiegów poświęcono październikową konwencję programową PiS w Katowicach.

Wyżej i więcej

Jednym z kluczowych tematów zlotu kaczystów pod hasłem „Myśląc: Polska" była potrzeba skonstruowania nowej konstytucji w celu wzmocnienia roli Nawrockiego poprzez zmianę ustroju na bardziej prezydencki lub półprezydencki.

Sam Karol Nawrocki już podczas pierwszego orędzia tuż po zaprzysiężeniu zapowiadał prace nad nową ustawą zasadniczą, która mogłaby być gotowa w 2030 r. Eksperci pukali się w czaszki. Uspokajano wówczas, że w sejmie będące w opozycji PiS nie znajdzie większości do swojej koncepcji, a nawet sugerowano, że dyskusyjne jest, czy w przypadku odzyskania władzy prawica będzie dysponować odpowiednią większością. Co więcej, podano w wątpliwość, czy posłowie faktycznie będą chcieli oddać kompetencje z Rady Ministrów do pałacu prezydenckiego.

Z prawnego punktu widzenia w obecnej sytuacji grzebanie przy konstytucji jest nierealne, ponieważ do jej zmiany potrzeba większości 2/3 głosów w sejmie i bezwzględnej większości w senacie. Oczywiście może się to zmienić po następnych wyborach, a PiS nie pieści się w tańcu i kuje żelazo, póki gorące.

Jarosław Kaczyński długo poszukiwał tematu przewodniego, który mógłby stać się punktem wyjścia do nowej opowieści o Polsce, a zmiana ustawy zasadniczej, która stanie się początkiem naprawy kraju po rządach Donalda Tuska, okazała się pasować do tego idealnie.

W wystąpieniu otwierającym katowicką konwencję prezes PiS przestrzegał przed planami Brukseli i Berlina, które zagrażają suwerenności poprzez zmiany konstytucyjne w państwach członkowskich. Szef Kancelarii Prezydenta RP podczas panelu „Nowa Polska – nowe państwo – moment konstytucyjny" opowiadał o wrogu zewnętrznym (Rosji) i konflikcie wewnętrznym generowanym przez obecną konstytucję, która „nie działa, wiąże ręce i stawia przeszkody". Przemysław Czarnek podkreślał, że zmiany pozwoliłyby zakończyć „farsę" w sądownictwie i wzmocnić prezydenta. Można te plany brać za czcze pierdolenie, ale faktem jest, że Karol Nawrocki został niejako PR-owo ulepiony pod ten projekt, a wyskok z nominacjami oficerskimi zdaje się tylko tę tezę potwierdzać.

Step by step

Strategia jest prosta. Prezydent najpierw coś blokuje lub czegoś odmawia, po pewnym czasie zgłasza swój pomysł i wymusza na rządzie jakieś ustępstwo. W ten sposób wykazuje, że ma dużo większe kompetencje w kształtowaniu rzeczywistości, niż można by sądzić wcześniej. Modelowym przykładem tego triku była ustawa dotycząca pomocy obywatelom Ukrainy. Nawrocki zgłosił weto, rząd musiał karnie łyknąć jego propozycje, a prezydent spił śmietankę społecznego uznania.

Jeśli spojrzeć, jak wygląda budowanie wizerunku prawicowych polityków na całym świecie, modus operandi wydaje się bardzo zbliżony i Nawrocki idealnie wpisuje się w schemat. W czasach przełomów geopolitycznych czy technologicznych charyzmatyczny i silny lider aktywizuje i przyciąga społeczeństwo. Badania socjologiczne i psychologiczne pokazują, że wysokorozwinięte społeczeństwa są podatne na wzmożony niepokój i zagubienie, a wówczas proste odpowiedzi na trudne pytania stają się dla ludzi atrakcyjne.

Jeśli prezydent rzuci, że przez fochy premiera nie mógł podpisać nominacji oficerskich dla funkcjonariuszy ABW i SKW, przeciętny Kowalski nie zada sobie trudu, żeby prześledzić rozwój wypadków, podstawy prawne regulujące działanie służb bezpieczeństwa i wyciągnąć wnioski. Zrozumie natomiast, że premier działa na szkodę państwa, wchodząc w paradę jego przywódcy. I to w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Co więcej, jeśli Nawrocki zmieni zdanie – bez względu na motywację – decyzja ta zostanie przyjęta przez społeczeństwo z uznaniem.

Jest pozytywnie oceniany zarówno przez zwolenników PiS, jak i Konfederacji. Buduje spójny wizerunek na dwóch nogach: ludowych korzeniach i dobrym radzeniu sobie w zupełnie innym świecie, do którego awansował. Wszystkie chętnie wyśmiewane przez opozycję i jej wyborców wpadki jak pogawędki Nawrockiego przez okno, trzepanie poduszek przez teściów prezydenta na tarasie Belwederu, to składowe jego kreacji. Nawet prowadzona przez przychylne opozycji media i internetowych publicystów kronika gaf modowych Marty Nawrockiej – każdy z tych elementów ukorzenia wizerunek prezydenta jako naturalnego i wiarygodnego, pierwszego pośród równych, który zaszedł wysoko.

Jarosław Kaczyński na niedawnym spotkaniu z sympatykami w Poznaniu powiedział, że dzisiaj konstytucja w gruncie rzeczy już nie obowiązuje, ale „te elementy, które są wygodne dla oligarchii rządzącej, grupy profitentów tego systemu, są w dalszym ciągu przestrzegane" i trzeba to zmienić. Któż miałby temu zaradzić, jeśli nie wyjęty z blokowiska prezydent Nawrocki? Wszak w swojej roli spisuje się modelowo. I nie jest to dobra wiadomość.

IDALIA DUBICKA

narodowych już niekoniecznie. Efekty tej degrengolady obserwujemy na żywo i w kolorze.

Jakie rozwiązania planuje Ministerstwo Zdrowia? Tradycyjnie wciąż tylko populistyczne.

Wilk syty

Zarówno piastująca do niedawna urząd ministra zdrowia Izabela Leszczyna, jak i jej następczyni Jolanta Sobierańska-Grenda obrały strategię, wedle której najlepszą formą obrony jest atak. Wskutek tej machinacji od przeszło roku z kawałkiem odpowiedzią na szukanie przyczyn finansowego bagna NFZ są zarobki personelu medycznego. Na polityczny i medialny celownik nagminnie trafiają lekarze.

Owszem, rząd PiS wprowadził mechanizm corocznej waloryzacji najniższych wynagrodzeń zasadniczych pracowników ochrony zdrowia, uzależniając ją od średniego wynagrodzenia w całej gospodarce, żeby zatrzymać odpływ kadr poza granice kraju. Tylko, zabawna sprawa, pensje lekarzy na umowach o pracę pochłaniają jedynie 8 proc. szpitalnych budżetów. W zestawieniu z pielęgniarkami i pozostałymi pracownikami lecznic jest to ok. 30–40 proc. Jeśli dorzucić do tego lekarzy zatrudnionych na kontraktach, wydatki oscylują w granicach 55 proc.

Minister Leszczyna swego czasu chętnie opowiadała wszędzie tam, gdzie dano jej głos, o przypadku medyka, który wyciągał 300 tys. zł miesięcznie z kontraktu. Zapominała jednak dodać, że przypadek dotyczył szpitala MSWiA w Warszawie, a podobnie lukratywne układy są rzadkie jak kłaki na mysiej pipie. Trudno się dziwić Leszczynie, oburz na kastę lekarską sprzedaje się świetnie, a brak wsparcia społecznego dla medyków to czysty zysk – naturalnie tylko dla państwa.

Ministerstwo Zdrowia wśród pomysłów na pudrowanie trupa wyłożyło właśnie na stół kilka fantów, m.in. zamrożenie podwyżek wynagrodzeń personelu, zmiany w koszyku świadczeń gwarantowanych oraz wprowadzenie limitu wynagrodzeń dla lekarzy pracujących na umowach cywilnoprawnych. MZ proponuje pułap 35,5 tys. zł miesięcznie z możliwością podniesienia go do 48 tys. zł w uzasadnionych sytuacjach. Kolejny z postulatów dotyczący kontraktowców zakłada, że wynagrodzenia nie będą mogły być ustalane jako procent od wykonanej procedury. Pomruk zadowolenia przetoczył się przez społeczeństwo, najbardziej zaś ucieszył się prywatny sektor medyczny.

Owca wydymana

Pod koniec października w Warszawie odbyła się kolejna edycja organizowanej od 20 lat konferencji poświęconej systemowi ochrony zdrowia w Polsce – Forum Rynku Zdrowia. Wśród zaproszonych prelegentów (w tym minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy) pojawiła się prezes Grupy Lux Med, wiceprezydent Konfederacji Lewiatan i prezes związku Pracodawcy dla Zdrowia dr Anna Rulkiewicz. Przedstawicielka prywatnego medycznego molocha przekonywała, że istnienie części państwowych szpitali to efekt czasu komunistycznego, a obecnie problem polityczny, bo każdy powiat chce mieć taką placówkę. Interesujące, bo kilka dni później, 6 listopada, Izabela Leszczyna w stacji RMF FM zapewniała, że żadnej likwidacji szpitali powiatowych nie będzie, a celem reformy przygotowanej przez KO jest przekształcenie tych placówek w szyte na miarę pacjentów centra medyczne.

Chciałoby się rzec: „bujać to my, ale nie nas". Naturalnie szpitale wymagają restrukturyzacji, ale to kosztowny i wieloletni proces. Zapachniało cichą prywatyzacją części sektora zdrowia? Niemożliwe. Przecież w interesie lobby medycznego nie jest wybieranie z rynku opłacalnych procedur i pozostawianie powikłań systemowi publicznemu...

Lekarzy kontraktowych nie obowiązuje kodeks prawa pracy, a co za tym idzie – chociażby limit przepracowanych godzin. Finansowy pstryczek w medyczny nos pogorszy dostępność procedur i wydłuży kolejki. Puchnący sektor prywatny z otwartymi ramionami przytuli każdego specjalistę. Im gorzej w państwowej ochronie zdrowia, tym lepiej dla zysków korporacji. Żeby zrozumieć, jak działa ta pułapka, wystarczy zerknąć na stomatologię. Fatalnie niska wycena koszyka świadczeń praktycznie zlikwidowała w wielu polskich miastach możliwość leczenia zębów na NFZ.

Rząd nie podniesie składki zdrowotnej, nie nałoży większej daniny na beneficjentów systemu KRUS, nie opodatkuje tłustych kotów, wreszcie nie zacznie naliczać procentu PKB na ochronę zdrowia z pominięciem metody n-2, zamiast tego będzie ciął.

W połowie października podczas Europejskiego Forum Nowych Idei w Sopocie wyżej wspomniana Konfederacja Lewiatan przyznała swoje nagrody. Beneficjentem statuetki im. Władysława Grabskiego został Maciej Berek, minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Nagroda została przyznana za wieloletnią pracę na rzecz deregulacji i tworzenia przyjaznego otoczenia prawnego dla przedsiębiorców.

Parafrazując: niech chorują bogaci, nam się nie opłaci.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

8 listopada, piątek w nocy: posłowie Razem nie głosują w sprawie zatrzymania i ewentualnego tymczasowego aresztowania Zbigniewa Ziobry.

10 listopada, wtorek wieczorem: posłanka Marta Stożek z Razem wyjaśnia tę postawę w programie TVN24 „Tak jest". Posłance towarzyszą dziennikarz Radomir Wit oraz eurodeputowany Koalicji Europejskiej Michał Szczerba.

Stożek mówi, że Ziobro to drań, ale nie należy go zatrzymywać ani aresztować. Dlaczego? – pyta Wit. Dlatego – odpowiada Stożek. Szczerba łapie się za głowę. Stożek mówi, że za swoje draństwa Ziobro powinien stanąć przed sądem. Jak może stanąć przed sądem, jeśli ukrywa się na Węgrzech? – pyta Wit. Tak – odpowiada Stożek, wzruszając ramionami. Jest wyraźnie zagubiona. Dlatego nie rozumie, co się do niej mówi? Czyżby coś wzięła? Musi do toalety?

Posłowie Razem, w tym Stożek, mogli w piątek głosować za zatrzymaniem i aresztowaniem Ziobry. Mogli głosować przeciw. Mogli wstrzymać się od głosu. Posłowie Razem, w tym Stożek, postanowili jednak wyjąć karty do głosowania i udawać, że ich nie ma w sejmie.

I ich nie było.

I ich nie będzie.

eprasa.pl bcb600a0bd

Kataster Razem: za, a nawet przeciw

Dlaczego potrzebujemy dobrej ustawy antyspekulacyjnej

5 listopada na mównicę sejmową wyszedł Adrian Zandberg, dzierżąc w dłoni najnowszy projekt partii Razem: propozycję ustawy antyspekulacyjnej. Inicjatywę trudno nazwać nowinką – o jakimś rodzaju podatku katastralnego słyszymy od dawna i nie tylko od przedstawicieli lewicy. Nieco ponad pół roku temu w Radiu Zet za podatkiem katastralnym od trzeciego mieszkania opowiedziała się minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, podpisując pod swoimi słowami pozostałych kolegów i koleżanki z Polski 2050. W maju o potrzebie wprowadzenia ustawy antyspekulacyjnej mówił nawet Jarosław Kaczyński, krytykując spekulantów traktujących nieruchomości jako towar inwestycyjny. Wydawać by się mogło, że potrzebę takiego podatku dostrzegły polskie elity polityczne, mimo że lwiej części z nich jest to stanowczo nie na rękę. W Hiszpanii, Włoszech czy Niemczech taki postulat nie jest żadną ekstrawagancją, ale – jak wiemy – w obszarze podatkowym i socjalnym to, co jest standardem na Zachodzie, w Polsce dalej traktowane jest jako o-boże-komunizm. Niestety, zagranie Zandberga w tym przypadku nie należało do tych najskuteczniejszych i już dzisiaj wiemy, że nikt owym projektem się nie przejął.

Słabe strony Lex Zandberg

Projekt partii Razem zakłada coś na kształt podatku katastralnego od trzeciego mieszkania. Mieszkania od trzeciego do piątego miałyby być opodatkowane stawką roczną w wysokości 1 proc. wartości nieruchomości, od szóstego do ósmego – 2 proc., od dziewiątego wzwyż – 3 proc. Dochody z podatku miałyby zasilać budżety gmin, na których terenie położone są opodatkowane nieruchomości (idealnie by było, gdyby wpływy te zostały w sektorze mieszkaniowym i przeznaczane były chociażby na budowę TBS-ów, jednak takiego zapisu w projekcie nie ma). Z „podatku od nadwyżki nieruchomości mieszkalnych" – jak określa to projekt ustawy – zwolnione mają być towarzystwa budownictwa społecznego, społeczne inicjatywy mieszkaniowe, samorządy i spółki co najmniej w połowie samorządowe. Wyżej wspomniane stawki z pewnością do wygórowanych nie należą – i osobiście uważam, że im będą one większe, tym mniejsze prawdopodobieństwo przerzucenia kosztów takiego podatku na najemców – jednak rozumiem, że z polską alergią na podatki należy trzymać się techniki gotowanej żaby.

Nie stawka jednak jest w tej ustawie największym problemem. Nawet nie będąc specjalistą od urbanistyki czy polityki mieszkaniowej, można dostrzec pewien pośpiech i niedbałość, z jaką została napisana.

Używam sformułowania: „na kształt podatku katastralnego", ponieważ w Polsce nie ma czegoś takiego jak kataster. Kataster jest to państwowy rejestr wszystkich nieruchomości zawierający regularnie aktualizowane informacji na temat ich wartości rynkowej. I to on właśnie służy jako podstawa do naliczania podatków majątkowych od nieruchomości w innych krajach.

W Polsce dysponujemy jedynie Rejestrem Cen Wartości Nieruchomości (RCiWN) prowadzonym przez starostwa powiatowe. Dane w RCiWNie nie dość, że są niepełne i często nieaktualne, to na dodatek nie operują jednolitym systemem automatycznej wyceny nieruchomości. Nie jest to więc rejestr tożsamy z katastrem – a to na ów rejestr powołuje się w swoim projekcie partia Razem. Wartość nieruchomości byłaby w takim wariancie ustalana jako mediana cen transakcyjnych 50 najbliższych geograficznie transakcji nieruchomości o podobnych parametrach, co znacznie utrudniałoby wycenę w małych miejscowościach. Jak przyznaje Mikołaj Paja ze Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, projekt Razem daje innym partiom dobrą wymówkę do sceptycyzmu. – Taka droga na skróty wydaje się karkołomna przede wszystkich z dwóch względów. Po pierwsze samorządy miałyby obiektywny problem z ustaleniem wartości transakcji na cele podatkowe. Po drugie zasady ustalania wartości w projekcie Razem nie są przesadnie precyzyjne, co sprawia, że decyzje wydawane na podstawie projektowanej ustawy mogłyby być masowo uchylane przez sądy administracyjne – powiedział nam Paja.

Komu nie podoba się podatek?

Koalicja 15 Października stanowczo odmówiła poparcia dla zandbergowej ustawy. Zgoda: Razem dostarcza argumentów przeciw, przynosząc do sejmu pisany na kolanie bubel, ale przecież wiadomo, że dla KO oraz Nowej Lewicy nie to stanowi największy problem. W wypowiedziach posłów koalicji próżno szukać jakiejkolwiek konstruktywnej krytyki.

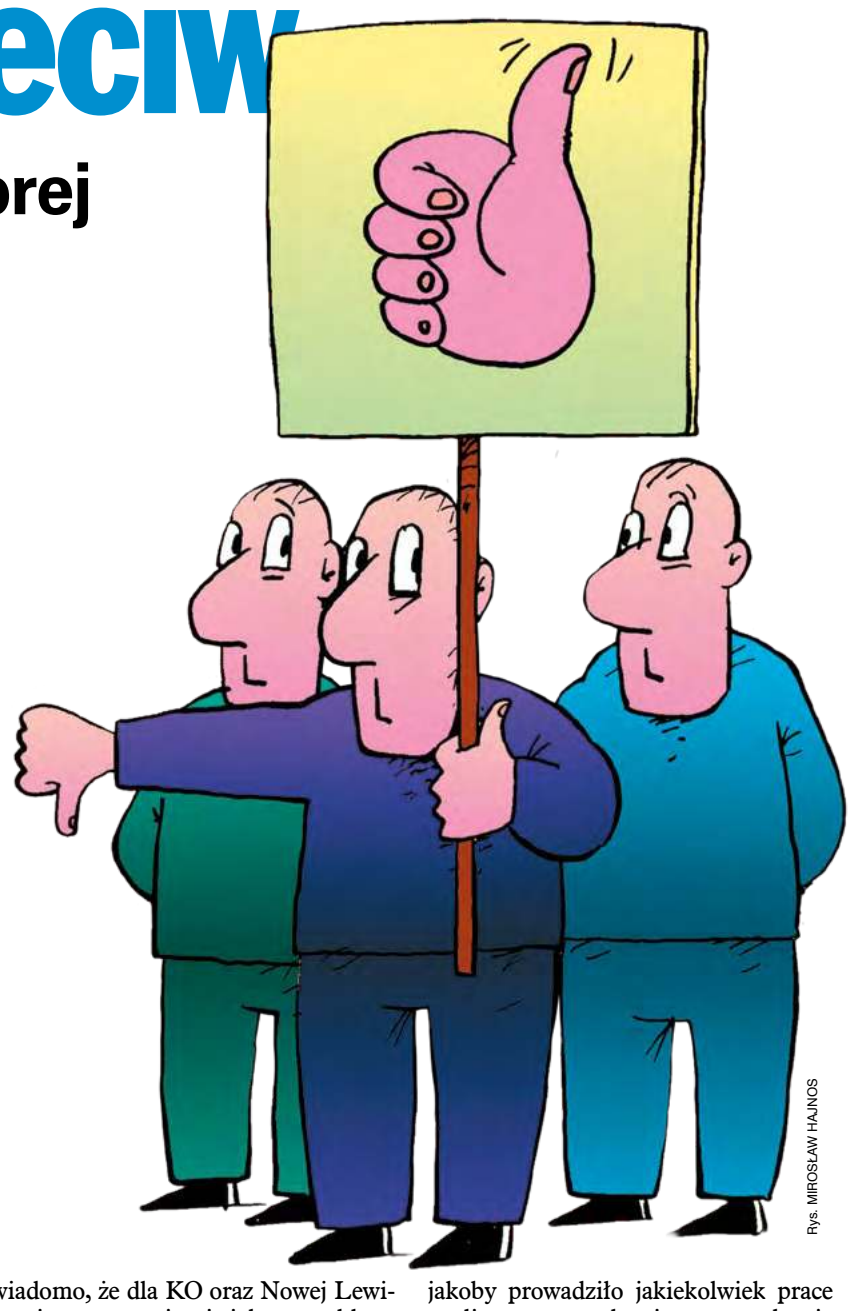

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

W rozmowie z Money.pl posła NL Arkadiusza Sikorę stać było jedynie na złośliwości pod adresem Razem – „skoro zdecydowali się na współpracę z PiS, to niech szukają podpisów u swojego nowego koalicjanta" – a następnie mrzonki na temat wielkich, acz bardzo nieskonkretyzowanych projektów dotyczących rozwoju budownictwa społecznego i komunalnego (tych, co na nie czekamy od dwóch lat tak samo jak na postulaty z setki KO i doczekać się nie możemy). Sikora ocenił, że projekt Zandberga jest dziurawy i niekompletny, z czym trudno się w istocie nie zgodzić.

Polska 2050 na czele z ministrą Pełczyńską-Nałęcz póki co milczy. Zresztą po jej majowej wypowiedzi Ministerstwo Finansów szybko zaprzeczyło, jakoby prowadziło jakiekolwiek prace analityczne w zakresie wprowadzenia podatku katastralnego i na razie nie odniosło się w żaden sposób do wyłożonego przez Razem projektu.

Z kolei Jolanta Niezgodzka z KO nazywa ustawę „czystym populizmem" i uważa, że od jej wprowadzenia ceny mieszkań nie spadną.

Nad wpływem podatku na ceny zastanowimy się za moment – natomiast pewny jest jego wpływ na portfele dużej części posłów KO, którzy od lat przodują w rankingach kolekcjonerów mieszkań. Wystarczy wspomnieć o Robercie Kropiwnickim, posiadaczu 12 nieruchomości o łącznej powierzchni około 640 mkw. czy powoli doganiającej go Małgorzacie Niemczyk (10 mieszkań).

Ważna kropla w morzu

Sytuacja na rynku mieszkaniowym jest na tyle dramatyczna, że podatek katastralny jest nie tyle panaceum, ile kroplą w morzu potrzeb. Nie ma wątpliwości, że byłby dobrym pierwszym krokiem w stronę ucywilizowania polskiego obrotu nieruchomościami. Na dodatek jest on rozwiązaniem stosunkowo prostym. – Nie ma łatwiejszego podatku niż podatek od nieruchomości – mówi Jan Śpiewak. – Mieszkanie jest najprostsze do opodatkowania: jest policzalne, nie uciekniesz z nim ani go nie ukryjesz tak, jak ma to miejsce z dochodami.

I wbrew temu, czym straszą nas media liberalne, nie ugodzi on w najbiedniejszych czy w klasę średnią. Szacunki co do liczby Polaków posiadających więcej niż dwa mieszkania oscylują między 0,8 i 3,4 proc.

Nawet biorąc pod uwagę tę górną granicę, podatek dotknie niewielki odsetek osób, mikroskopijną grupę kontrolującą większość zasobów mieszkaniowych na rynku. W żadnym wypadu nie jest to podatek, który godzi w szarego Kowalskiego, ale może nieco takiemu Kowalskiemu ułatwić zakup czy wynajem mieszkania w przyszłości. Choćby z tego względu, że nieopłacalne staną się pustostany, które przykładowo w stolicy stanowią około 10 proc. wszystkich nieruchomości.

Co więcej, według sondażu opublikowanego przez „Rzeczpospolitą" w kwietniu tego roku Polacy najzwyczajniej chcą podatku katastralnego. 28,1 proc. respondentów uważa, że podatek katastralny powinien zostać wprowadzony dla posiadaczy co najmniej trzech mieszkań, a 11,9 proc. wprowadziłoby go już od dwóch. Stanowczym „nie" odpowiedziało w tej kwestii 33,6 proc. 12,7 proc. nie ma zdania, a 13,6 proc. ankietowanych nie wie, czym jest podatek katastralny.

Gdyby do lekko podrasowanej propozycji opodatkowania wysuniętej przez Razem dołożyć inne sprawdzone w państwach UE rozwiązania – jak podwyższenie podatku od wynajmu, a przede wszystkim wyższy koszt odsprzedaży nieruchomości w czasie krótszym niż pięć lat od daty jego zakupu (Polska jest jednym z krajów, gdzie koszty te są najmniejsze w Europie, bo jedyny podatek ponoszony z tego tytułu to stała stawka podatku dochodowego) – mieszkania w końcu mogłyby zgodnie z polską konstytucją stać się prawem, a nie towarem inwestycyjnym elit.

ANTONINA STEFFEN

Dwa podatki – ta sama głupota

Kto się boi finansowej oligarchii?

Bajki dla myślących

Albert Einstein wyraził myśl tak oczywistą, że aż odkrywczą. Powiedział podobno, że szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać innych rezultatów. Ale nie do wszystkich docierają słowa mędrców.

Są setki różnej maści przyczyn, dla których w 2015 r. liberałowie oddali władzę nacjonalistycznej konserwie, ale do najważniejszych zaliczyć można brak zwyczajnej troski o dobro i interesy zwykłych ludzi. Wszak to głównie oni wrzucają kartki wyborcze do urn. W 2015 r. to PO i spółka zapewniły sukces PiS-owi swą wcześniejszą ignorancką polityką. Ewidentnie nie wyczuły bluesa. Większość ludzi zawiedzionych neoliberalną polityką nastawioną na dobro elit oczekiwało tego, co obiecało PiS – „dobrej zmiany". Liberałowie, zgodnie ze swoją zatrutą ideologią, olali setki spraw ważnych dla ludzi, a wśród nich taki mały drobiazg jak podatki. Ich zdaniem regresywne podatki, czyli takie, które obciążają przede wszystkim uboższych, są OK, ale boże broń przypadkiem oskubać bogacza. Nie tylko jak zwykle gnębili normalsów PIT-em, ale nawet podnieśli VAT, który obciąża ludzi przeznaczających większą część swoich zarobków na konsumpcję. A setki innych głupich decyzji i brak mądrych (czyli prospołecznych) zbudowały polityczną siłę PiS-u. PiS był w stanie wziąć władzę prostym trikiem: 500 plus.

Zatem dziś opowiem wam bajkę o dwóch podatkach i jednej nadchodzącej klęsce.

Wyobraź sobie, że mamy rok 2012. Wtedy Polska – gdy Komisja Europejska proponowała wprowadzenie podatku od transakcji finansowych – stanęła po stronie finansowej oligarchii, a nie zwykłych obywateli. Spośród krajów UE za podatkiem opowiedziały się wtedy Niemcy, Francja, Austria, Belgia, Portugalia, Słowenia, Grecja, Włochy, Hiszpania i Słowacja, ale Polska powiedziała „nie".

Chodzi o tzw. podatek Tobina zaproponowany przez amerykańskiego noblistę Jamesa Tobina. To podatek od spekulacyjnych transakcji walutowych, którego dochód miał być przeznaczony na wyrównanie nierówności społecznych. Jak zauważył sam Tobin, jego podatek miał „dać bankom centralnym w małych krajach pewien margines swobody" i stanowić „miarę sprzeciwu wobec dyktatu rynków finansowych". Ten podatek działałby jak piasek w tryby zbyt agresywnych międzynarodowych rynków finansowych, utrudniając spekulacyjne ataki na waluty poszczególnych krajów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jak dowiodły kryzysy w Meksyku, Azji Południowo-Wschodniej i Rosji w latach 90., nagły odpływ kapitału zmusza bowiem państwa do drastycznego podnoszenia stóp procentowych, co powoduje nierzadko katastrofalne zmrożenie gospodarki. Natomiast ten podatek chroniłby autonomię polityki gospodarczej i intensyfikował rozwój. Co więcej, ma on ogromny potencjał dochodowy. Gdyby podatek od transakcji finansowych wdrożyło 27 krajów UE, to według szacunków Komisji Europejskiej mógłby przynieść od 16,4 do nawet 400 mld euro, które mogłyby zostać przeznaczone na publiczne usługi lub zmniejszenie obciążeń podatkowych dla najbiedniejszych. Podatek Tobina może być skuteczny tylko wtedy, gdy zostanie wprowadzony jednocześnie przez kilka państw (w tym przypadku chodziło o UE) liczących się na międzynarodowym rynku walutowym. Tym bardziej niezrozumiała jest postawa polskiego rządu, który milczał, a tym samym odrzucił nawet próby dyskusji na ten temat. Między innymi z powodu postawy Polski do wprowadzenia tego podatku nie doszło.

Teraz mamy 2025 r., podobną władzę i tę samą mentalność. Gdy Adrian Zandberg składał w sejmie projekt ustawy o katastralnym podatku antyspekulacyjnym od trzeciego i kolejnych mieszkań, w sali obrad rozległa się ta sama wymowna cisza, która towarzyszy od dziesięcioleci każdej propozycji realnej redystrybucji bogactwa. Rządzący, którzy w kampanijnych przemówieniach obiecują „sprawiedliwość społeczną", wobec konkretnych

eprasa.pl bcb600a0bd

Unia zgodziła się na masowe wypalanie puszczy amazońskiej

Oddychanie soją

Europa właśnie postanowiła jeszcze bardziej otworzyć mu drzwi. W imię tańszej paszy, tańszego kurczaka i rentowności ferm.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zanim ktokolwiek wczytał się w szczegóły porozumienia handlowego między Unią Europejską a krajami Mercosuru, polska prawica zorganizowała narodową żałobę po rolnictwie. Zanim padło choć jedno konkretne zdanie z samej umowy, PiS i zaprzyjaźnione z nim organizacje rolnicze ogłosiły alarm – nie ekonomiczny, nie analityczny, ale totalny. I jak zwykle w tej branży nie zabrakło wielkich słów, patetycznych odwołań do ojcowizny oraz litanii zagrożeń, które niczym szarańcza mają spaść na świętą polską wieś.

Wołowina z Argentyny? Katastrofa dla Podkarpacia. Drób z Paragwaju? Śmierć dla Podlasia. Cukier z Brazylii? Bankructwo Mazowsza. Wszystko to ma rozegrać się błyskawicznie, bo Komisja Europejska postanowiła podpisać umowę handlową, która otwiera bramy piekieł. Bruksela sprzedaje polskich rolników za grosze, a wszystko po to, by niemiecki przemysł mógł taniej wyprodukować silnik do kolejnej Škody.

Nielimitowane obawy

PiS chce, żeby tak to widział każdy. Bo kocha zarządzać strachem, a ten najłatwiej wzbudzić w kimś, kto każdego dnia zmaga się z kredytem na ciągnik, drożejącą paszą i nieprzewidywalną pogodą. „Polska nie zgodzi się na tę umowę" – grzmiał rzecznik partii, zanim jeszcze ujawniono treść porozumienia. Europosłowie natychmiast napisali listy, żądali, apelowali, grozili, tupali. Rolnicy natomiast – głównie ci spod sztandarów dawnej Samoobrony – zaczęli wyciągać transparenty i szykować się na kolejną bitwę o byt. Bo wszystko, co zagraniczne, jest jednocześnie nieuczciwe, brudne i śmiercionośne. A wszystko, co nasze – uczciwe, czyste i błogosławione.

Nie chodzi o fakty, rzecz w emocjach. W starannie budowanej opowieści o „tradycyjnej polskiej wsi", która musi bronić się przed naporem globalizmu jak niegdyś przed Szwedami i kołchozami. Oczywiście nikt nie wspomni, ile naprawdę z tego importu trafi do Polski. Nikt nie tłumaczy, że wiele z tych produktów już teraz trafia do UE – tylko po wyższych cenach i przez pośredników. To nie ma znaczenia. Liczy się tylko, że Bruksela nas sprzedała, a Tusk nie kiwnie palcem, żeby nas obronić.

Zacznijmy od mięsa. Wołowina i drób – to te dwa produkty zostały okrzyknięte gwoździem do trumny europejskiego rolnictwa. Według porozumienia z krajów Mercosuru do UE trafić ma do 99 tys. ton wołowiny rocznie oraz 180 tys. ton drobiu. Dodatkowo: 180 tys. ton cukru, 60 tys. ton etanolu przemysłowego i 450 tys. ton etanolu do celów spożywczych, 25 tys. ton miodu, 7 tys. ton ryżu.

Według danych Eurostatu za 2023 r. import z Mercosuru do UE był znaczący – ale daleki od zalania rynku. Zboże – 4,1 mln ton, co stanowi 4,2 proc. unijnego importu. Cukier – 970 tys. ton, czyli 11,8 proc. unijnego importu. Śruta sojowa – niemal 13 mln ton, 61,9 proc. unijnego importu. Wołowina – 141 tys. ton (6,5 proc.), drób – 72 tys. ton (1,8 proc.). Co równie istotne – do UE nie przyjechała ani jedna tona wieprzowiny, jaj ani produktów mlecznych z Mercosuru. A Polska? W 2023 r. do kraju nie wjechały żadne przesyłki wieprzowiny, wołowiny, drobiu ani jaj z Mercosuru. Zaimportowano jedynie: 40 tys. ton zboża – 2 proc. krajowego importu, 26 tys. ton cukru – 11,6 proc. i 2,2 mln ton śruty sojowej.

Oscypek nad Amazonką

Brzmi groźnie? To przyjrzyjmy się faktom. Produkcja wołowiny w UE to około 6,5 mln ton rocznie. Drób? 13,4 mln ton. Cukier? Prawie 17 mln ton. Wspomniane limity importowe to ułamek tego, co produkuje Unia – najczęściej nie więcej niż 1–2 proc. Polska sama wytwarza pół miliona ton wołowiny i 1,8 mln ton drobiu. Jeśli ktoś twierdzi, że import z Mercosuru doprowadzi do upadku sektora, to chyba zakłada, że cała ta wołowina i cały drób trafią jednocześnie tylko do Polski i tylko do jego gminy. Prawda zaś jest taka, że większość konsumentów w Europie nawet nie zauważy ich obecności na półkach. Nie dlatego, że są ślepi – tylko dlatego, że towarów z Mercosuru będzie po prostu za mało, by je dostrzec.

Oczywiście są regiony, w których nawet drobna zmiana może mieć znaczenie. Tam, gdzie gospodarstwa balansują na granicy opłacalności, każda presja cenowa boli. I tu dochodzimy do momentu, w którym trzeba powiedzieć jasno: część obaw rolników jest zrozumiała. Bo choć limity są niewielkie, to ceny nie zawsze reagują liniowo. Import, choćby niewielki, może być wykorzystywany przez sieci handlowe do naciskania na krajowych dostawców. Może też – w skrajnych przypadkach – zaburzyć równowagę na rynkach lokalnych. To realne ryzyko. Ale ryzyko, któremu można przeciwdziałać, jeśli państwo nie śpi.

Całkowicie pomijana jest też druga strona tej umowy. Bo UE również zyskuje – i to niemało. Europejskie firmy uzyskają dostęp do ogromnego rynku, będą mogły eksportować swoje produkty bez ceł, sprzedawać więcej przetworzonych artykułów rolno-spożywczych, chronić swoje regionalne oznaczenia. Unia wywalczyła ochronę ponad 350 oznaczeń geograficznych dla swoich produktów – od włoskiego parmezanu po polski oscypek. To znaczy, że pod nazwą „szynka parmeńska" nie wjedzie już do Brazylii żadna podróbka z chińskiej linii produkcyjnej.

W dodatku zyskuje europejski przemysł. Mercosur zlikwiduje cła na 91 proc. towarów przemysłowych z UE. To oznacza niższe ceny europejskich samochodów, maszyn, komponentów, leków, kosmetyków i sprzętu AGD w Ameryce Południowej. Innymi słowy, to realna szansa dla naszego eksportu, zatrudnienia i wzrostu gospodarczego. Tego się nie opowiada na wiejskich zebraniach, bo przecież trudniej wzbudzić lęk przed tańszym Peugeotem z Paragwaju niż przed brazylijską ćwiartką kurczaka.

Licencja na odtlenianie

W tym całym harmidrze prawie nikt nie zauważył, że umowa UE Mercosur ma jedno wielkie zagrożenie. I wcale nie chodzi o mięso czy cukier, lecz o soję. Bo w tym przypadku nie idzie o konkurencję dla europejskich plantatorów, ale o coś znacznie większego – o płuca planety.

Soja – cicha, niepozorna bohaterka nowoczesnego rolnictwa – to dziś fundament europejskiego systemu paszowego. Śruta sojowa, produkowana głównie w Ameryce Południowej, stanowi podstawę karmienia bydła, trzody i drobiu w całej Unii Europejskiej. Bez niej nie byłoby taniego mięsa, szybkiego tuczu, przemysłowych ferm. Problem w tym, że soja nie rośnie w Europie w wystarczającej ilości. Szacowana produkcja w sezonie 2023/2024 wyniosła około 3,13 mln ton. Uprawy zajmują ledwie ponad milion hektarów. To kropla.

I tu właśnie pojawia się pytanie: dlaczego w umowie nie pojawił się żaden limit na import soi? Dlaczego cła, kontyngenty i ochronne mechanizmy dotyczą mięsa, etanolu, cukru, a nie produktu, który – jak wszyscy doskonale wiedzą – odpowiada za najbardziej destrukcyjną formę ekspansji rolnictwa w Ameryce Południowej?

Bo to soja, a nie bydło, wypala amazońskie dżungle. To dla niej karczuje się lasy deszczowe, pod nią podpala się zielone płuca planety. Soja to cichy zabójca bioróżnorodności, pożeracz gleby i generator emisji. I zamiast go powstrzymywać,

Bo zamiast płacić państwom, które mają na swoim terytorium lasy deszczowe, za ich ochronę, świat daje im kasę na to, by te lasy wypaliły i zamieniły w monokulturowe plantacje. Soja jest widać bardziej opłacalna niż tlen.

I teraz, dzięki uprzejmości Brukseli, ta logika została przypieczętowana międzynarodową umową. Bez limitów. Bez kontroli. Bez wstydu.

W debacie publicznej o Mercosurze nie znajdziemy tego tematu. Ani słowa o soi w komunikatach ministerstw. Żadnej wzmianki w sejmowych tyradach o zdradzie rolników. Milczenie europosłów, cisza mediów, brak transparentów z napisem „Stop sojowej kolonizacji". Tylko nieliczni – Zieloni, ekolodzy, autorzy analiz technicznych – próbują podnieść ten temat. Ale ich głos tonie wśród okrzyków, że paragwajska pierś z kurczaka wyprze polską.

Bruksela powinna była postawić sprawę jasno: jeśli już otwieramy rynek, to nie za darmo. Jeśli chcemy kupować soję, to tylko pod warunkiem, że jej produkcja nie niszczy środowiska. Jeśli podpisujemy umowę, to z twardymi mechanizmami monitorowania i karania nadużyć. Zamiast tego postawiono na wolny handel. Wolny od limitów, wolny od odpowiedzialności, wolny od refleksji.

Europa, która tak chętnie mówi o Zielonym Ładzie, neutralności klimatycznej i ochronie planety, właśnie podpisała kontrakt na jej powolne duszenie.

TADEUSZ JASIŃSKI

„sprawiedliwość społeczną", wobec konkretnych rozwiązań nagle znajdują tysiące powodów, dla których „się nie da". Tymczasem ceny mieszkań w Polsce osiągnęły poziom chorobliwy, a marzenia własnego „M" pozostały tylko marzeniem dla całego pokolenia Polaków.

Dlaczego rządzący boją się nawet tak prostych i skutecznych rozwiązań jak podatek antyspekulacyjny? Dlaczego w obliczu stale rosnących nierówności społecznych odmawia się wprowadzenia narzędzi, które mogłyby realnie zmienić sytuację milionów zwykłych obywateli?

Podatek katastralny to lekarstwo na kryzys mieszkaniowy. Projekt partii Razem to nie rewolucyjna koncepcja, a raczej dostosowanie sprawdzonych rozwiązań funkcjonujących w wielu krajach Europy. Progresywny podatek od trzeciego i kolejnych mieszkań przyjmuje stawki 1 proc. wartości nieruchomości dla posiadaczy trzech–pięciu mieszkań, 2 proc. dla sześciu–ośmiu mieszkań i 3 proc. od dziewiątego mieszkania wzwyż. Dwa pierwsze mieszkania są zwolnione – to nie uderza w zwykłych obywateli, a jedynie w spekulantów gromadzących nieruchomości w celach inwestycyjnych.

Zaletami społecznymi podatku katastralnego są:

– ograniczenie spekulacji poprzez zwiększenie kosztów utrzymania tzw. portfeli inwestycyjnych złożonych z wielu mieszkań. Podatek zniechęci do traktowania podstawowej potrzeby, jaką jest dach nad głową, jako mechanizmu podbijania cen, czyli gry rynkowej;

– zwiększenie podaży mieszkań na rynku – posiadacze wielu nieruchomości zmuszeni do płacenia podatku będą skłonni sprzedać część swoich zasobów lub płacić podatek katastralny, co przyczyni się do obniżki cen mieszkań. Efektem będzie redystrybucja bogactwa, bo wpływy z podatku mogłyby zostać przeznaczone na budownictwo społeczne lub dopłaty do czynszu dla najbiedniejszych rodzin.

Z badań wynika, że większość Polaków popiera wprowadzenie katastru. Teraz libki mają szansę nie zachować się antyspołecznie, jeśli podpiszą się pod projektem ustawy o podatku katastralnym i na przykład podejmą na forum UE dyskusję o podatku od transakcji finansowych. Ale to raczej nadal bajka.

Dopóki rząd będzie wolał chronić spekulantów, a zapominał o zwykłych obywatelach, szanse na wymarzone przez nich pokonanie konserwy są moim zdaniem mizerne.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl bcb600a0bd

I nie będzie już nikogo

Jesteśmy wymierającym narodem

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Po 11-listopadowych peanach na cześć Polski i Polaków powinniśmy wiedzieć, że jakby co, to nikt za nimi płakać nie będzie. Demografowie od dawna piszą, że Polska znajduje się w gronie najszybciej kurczących się narodów świata. Od 2011 r. rodzi się nas mniej, niż umiera, i trend ten będzie się tylko pogłębiał. Według Eurostatu w 2100 r. będzie nas o ponad 10 mln mniej niż dziś. Według jeszcze innych wyliczeń Polska będzie miała wtedy 14,5 mln obywateli.

Z najnowszych danych GUS wynika, że w pierwszych trzech kwartałach 2025 r. ubyło nas o kolejne 0,3 proc. Jest nas o 158 tys. osób mniej niż rok wcześniej. Ale przecież nie dlatego, że coś nagle się zepsuło. W Polsce nie rodzi się dzieci, bo Polacy dzieci mieć nie chcą. I to nie od wczoraj.

Między styczniem a wrześniem zarejestrowano 181 tys. urodzeń żywych. To o 11 tys. mniej niż rok wcześniej. A wcześniej było mniej niż jeszcze wcześniej. Zgony? 208 tys. w pierwszym półroczu. Ale nikt nie umiera z przerażenia, że Polska się starzeje.

Polak z przyzwyczajenia

Wskaźnik zastępowalności pokoleń w 2024 r. spadł do poziomu 1,11. To znów mniej niż wcześniej. Ale to też nie powód do lamentu. Nikt rozsądny nie sądzi już dziś, że dzieci pojawiają się z poczucia obowiązku wobec narodu. One się pojawiają – albo nie – w zależności od poczucia sensu, stabilizacji i komfortu. Nic dziwnego, że jak ktoś może, to odkłada dzieci na później. A potem na jeszcze później. A w końcu się okazuje, że już nie ma komu rodzić. Bo roczniki, które wchodzą w wiek reprodukcyjny, są najchudsze od lat.

Jeszcze pięć lat temu dodatni przyrost naturalny był w 82 powiatach. Dziś już zaledwie w sześciu. W 36 powiatach na jedno urodzenie przypadają trzy zgony. W 174 – co najmniej dwa. Ale to przecież tylko cyfry. Cyfry, które pokazują tyle, że nie wszędzie chce się żyć.

Jeśli rzeczywiście liczba urodzeń w 2025 r. nie przekroczy 225 tys., to będzie to mniej niż liczba osób urodzonych w 1983 r. tylko w siedmiu największych aglomeracjach.

W niektórych gminach nie urodziło się w tym roku ani jedno dziecko. W 26 – przyszło na świat troje. Ale i to da się zrozumieć. Dubicze Cerkiewne, Baligród, Nowe Warpno – to nie są miejsca, gdzie ktoś przy zdrowych zmysłach zakłada rodzinę. A jak już ktoś mieszka, to raczej z przyzwyczajenia.

Polak z przesiedlenia

Według danych o budowie domów Polska dzieli się już nie na Wschód i Zachód, ale na „tam, gdzie się buduje" i „tam, gdzie się nie buduje w ogóle". 73 powiaty nie otrzymały w pierwszym półroczu 2025 r. ani jednego pozwolenia na budowę domu lub lokalu.W międzyrzeckim, pyrzyckim, tureckim – cisza. Są całe regiony – Lubelszczyzna, Podlasie, Warmińsko-Mazurskie – gdzie nie buduje się nic.

W zamykających ranking powiatach siemiatyckim i hrubieszowskim przez całą dekadę przybyło zaledwie 20 tys. mkw. nowych mieszkań. To mniej, niż wynosi roczny przyrost w jednym kwartale Poznania. Ale przecież nie każdy musi mieć metraż. W niektórych miejscach wystarczy pamięć po dziadku i asfalt do kościoła.

Na drugim końcu tej samej mapy błyszczą metropolie. Powiat poznański urósł w dekadę o 5 mln mkw. – więcej niż cały Olsztyn. Krakowski wyprzedził Elbląg, wrocławski – Włocławek, a piaseczyński – Słupsk. Rzeszów ma dodatni przyrost naturalny – 58 dzieci! – i dodatnie saldo migracji – 165 osób. Cud nad Wisłokiem.

Dlaczego wszyscy chcą mieszkać w aglomeracjach? Bo tam się jeszcze coś dzieje. Tam jest praca, szkoła, komunikacja, Uber Eats i wydarzenia. Kto mieszka w dużym mieście – ten żyje.

Konfederacja mówi o sile narodu, PiS o niepodległości, a Polska jakby ich nie słuchała. Zamiast maszerować w defiladzie, pakuje walizki. Dane CBOS z 2023 r. wskazują, że 25 proc. Polaków wstydzi się bycia Polakiem, a 20 proc. nie lubi własnych rodaków. To może dlatego nikt nie chce się osiedlać tam, gdzie Polska wygląda najbardziej jak Polska.

Polak niekochany

Są też badania pokazujące, czego Polacy najbardziej nie znoszą u siebie nawzajem. Najwięcej wskazań pada na innych Polaków. A szczególnie urzędników, polityków, ludzi z Warszawy, ludzi ze wsi, ludzi z innych województw. W 2022 r. aż 46 proc. respondentów przyznało, że negatywnie postrzega mieszkańców Śląska. 38 proc. źle oceniało Podkarpacie, 34 proc. – Mazowsze. To nie jest kraj, który chce się kochać. To kraj, który od siebie ucieka.

Najmniej dramatyczne są dane o migracjach. Bo to one pozwalają jeszcze niektórym miastom się bronić. Warszawa, Gdańsk, Kraków notują niewielki wzrost liczby mieszkańców. Nie dlatego, że rodzą się tam dzieci. Tylko dlatego, że ktoś się tam przeprowadza. Czasem z gminy obok, czasem z Ukrainy.

W Europie nikt się nie łudzi. Najnowsze raporty z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii, Hiszpanii czy Włoch pokazują jednoznacznie: Polacy nie są tam mile widziani. Wprawdzie raporty mówią o „polskich imigrantach" czy „pracownikach sezonowych", ale między wierszami widać więcej. W Wielkiej Brytanii po brexicie to właśnie Polacy stali się symbolem zbędnego napływu taniej siły roboczej. Raport Migration Observatory podaje, że 21 proc. Brytyjczyków nie życzy sobie imigracji z Polski. Kolejne badania dokumentują wzrost aktów wrogości wobec Polaków – od agresji słownej po przemoc fizyczną.

W Niemczech jest bardziej elegancko, ale i dwuznaczniej. Z badań SVR wynika, że choć 94 proc. polskich imigrantów czuje się tam dobrze, to jednocześnie 22 proc. doświadczyło dyskryminacji ze względu na pochodzenie. W hiszpańskiej Walencji Polaków myli się z Rumunami. We Francji – jeśli jeszcze ktoś pamięta o Polakach – to jako o milczących robotnikach z dawnych kopalni. A we Włoszech? Owszem, polskie opiekunki i pomoce domowe cieszyły się kiedyś względnym uznaniem, ale dziś zastępują je Ukrainki, Filipinki i Peruwianki. Polki – jak mówią włoskie badania migracyjne – traktowane są jako pracownice tymczasowe, o słabej znajomości języka i braku zamiaru integracji.

Prezent dla świata

Europejska demografia to nie sentymentalna opowieść o kulturze i dziedzictwie. To czysta kal-

SŁOWO CZERWONE

Dość ściemy

Pracodawcy w obronie oszustów

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ponad 2,5 mln ludzi pracy w Polsce jest zmuszonych do pracy na umowach śmieciowych (cywilnoprawnych) albo zostało wypchniętych na samozatrudnienie. Kiedy Unia Europejska uczyniła jednym z kamieni milowych – od których spełnienia uzależniła wypłaty z Krajowego Planu Odbudowy – ozusowanie śmieciówek, rząd tę opcję odrzucił. Zgodził się za to w zamian wzmocnić Państwową Inspekcję Pracy. Inspektorzy w ramach ministerialnego projektu Agnieszki Dziemianowicz-Bąk mają otrzymać prawo do ustalania, że umowy cywilnoprawne są umowami o pracę. Podobnie jak fikcyjne samozatrudnienie. Taka decyzja obowiązywać będzie od razu. A pracodawca będzie się od niej mógł odwołać do sądu.

Podczas zorganizowanego przez posła Przemysława Wiplera z Konfederacji wysłuchania publicznego przedstawiciele pracodawców nie zostawili na projekcie suchej nitki. Najbardziej pomstowali na to, że ciężar odwołania się do sądu w sprawie ustalenia, czy umowa jest umową o pracę, ma spoczywać na firmach, a nie na pracownikach jak dotychczas. Pracodawcy słusznie zauważyli, że na wyrok sądu pracy czeka się często rok, a nawet dwa lata. Propozycja ministerstwa opiera się na założeniu, że pracodawcy są w lepszym położeniu ekonomicznym i stać ich na czekanie na sądowe rozstrzygnięcie, a pracowników – nie. Pracownik w tak długim czasie musi już podjąć pracę gdzie indziej. Zwłaszcza że samo wystąpienie o ustalenie istnienia stosunku pracy powoduje negatywne reakcje zatrudnicieli.

Fakt, że wciąż likwidowane są w sądach izby pracy, powoduje, że do sądu trzeba jeździć dalej i czekać dłużej. Prawo pracy, które ma chronić słabszą stronę stosunku pracy, czyli pracowników, staje się jakąś iluzją. Wyroki, nawet jeżeli zapadają na korzyść pracowników, zapadają wtedy, kiedy nie mają już znaczenia, bo człowiek zmuszony jest podjąć inną pracę.

Ukrywanie stosunku pracy pod pozorną umową cywilnoprawną, aby uczynić ją tańszą, jest oszustwem. Projekt ministerstwa zakłada, że sprawcy tego oszukiwania państwa i pozbawiania pracowników praw gwarantowanych kodeksem pracy mają być karani wyłącznie nadaniem umowie charakteru przewidzianego prawem i wypłaty utraconych z powodu tego oszustwa korzyści tak dla państwa, jak i dla pracownika.

Tymczasem przedstawiciele biznesu zareagowali tak, jak gdyby mieli konstytucyjne prawo do oszukiwania. Zachowują się tak, bo od początku transformacji biznesowi wolno było więcej.

W kraju, w którym premier spotyka się z miliarderami w gmachu giełdy i nawołuje ich, żeby się bogacili, niewiele brakuje, abyśmy przewodnią rolę biznesu wpisali do konstytucji, tak jak kiedyś wpisano do niej kierowniczą rolę PZPR.

Przedstawiciele organizacji biznesowych z wielkim zapałem bronili pracodawców przed reformą. Chociaż większość pracodawców to ludzie uczciwi, którzy nie oszukują państwa. Okazuje się więc, że zgromadzone licznie organizacje przedsiębiorców postanowiły bronić szemranego biznesu. A przecież oszukujący w sprawie umów z pracownikami przedsiębiorcy stanowią nieuczciwą konkurencję dla tych, którzy przestrzegają obowiązujących ich w RP praw.

Powstaje pytanie, czy firmy, które opłacalność swojego biznesu opierają na nieuczciwym zaniżaniu kosztów pracy, czyli wykorzystywania swoich pracowników i oszukiwania państwa, powinny w naszym kraju funkcjonować? Czy nie lepiej by było, gdyby tego rodzaju „przedsiębiorcy", zamiast udawać biznesmenów, poszli do uczciwej pracy?

Hiobowe wieści, że reforma zniszczy miliony miejsc pracy, należy włożyć między bajki, bo kluczowe założenia reformy zakładają niewielkie tylko zwiększenie liczby inspektorów. Tak niewielkie, że zakłada się, że kontroli form zatrudnienia ma być w przyszłym roku zaledwie 200. Wpro-

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Prokuratura w Człuchowie umorzyła śledztwo w sprawie nękania burmistrza Chojnic Arseniusza Finstera przez radnego Kamila Kaczmarka. Kaczmarek atakował posesję burmistrza z powietrza, uporczywie przelatując nad nią dronami. Finster myślał, że to Putin nadlatuje. Jakież wysokie mniemanie o sobie! A tu się okazało, że to tylko jakiś Kaczmarek. Śledczy uznali, że naruszenie przestrzeni powietrznej nad głową Finstera (i jego żony) nie jest żadnym przestępstwem. Radny Kaczmarek skomentował decyzję krótko: „To było oczywiste od początku. Burmistrz od lat próbuje kryminalizować opozycję, czyli mnie". Wygląda na to, że burmistrz Finster musi się pogodzić z tym, że nad jego domem latają drony. Powinien zainwestować w parasol przeciwlotniczy.

▮ Radny Kutna Przemysław Tobolczyk, zasiadający w komisji ds. bezpieczeństwa, to prawdziwy ekspert w tej dziedzinie. Dwukrotnie został zatrzymany za kierowanie samochodem bez prawa jazdy – w grudniu 2024 r. i obecnie. Jak sam przyznał, nigdy nie posiadał uprawnień do prowadzenia pojazdów. Radny wcześniej publikował w mediach społecznościowych nagrania, na których widać, jak prowadzi samochód, a także wypowiadał się o bezpieczeństwie ruchu drogowego i do tego policja się na niego zawzięła. Wygląda na to, że Tobolczyk to prawdziwy wzór cnót obywatelskich. Powinien zostać patronem wszystkich kierowców, którzy nie mają prawa jazdy.

▮ W Brzeźnie koło Chełma 17-latek bez prawa jazdy zabrał rodzicom Volkswagena, żeby zaimponować dziewczynie. Stracił panowanie nad autem i wylądował w rowie. 16-letnia pasażerka trafiła do szpitala, a on sam – w ręce policji. Był trzeźwy. Każdy z tych faktów, i wszystkie razem wzięte, naprawdę zapierają dech w piersiach. Plan się powiódł – nam też zaimponował.

▮ 5 listopada 2025 r. w Zamościu na ul. Wyszyńskiego doszło do kolizji. 59-letnia kobieta kierująca Suzuki wjechała w tył Hondy. Badanie wykazało ponad 1,5 promila alkoholu. Kobieta trafiła do aresztu, a media donoszą, że była to sędzia miejscowego sądu. Policja milczy. To już drugi przypadek sędziego na podwójnym gazie w regionie. Miesiąc wcześniej podobną trasę odbył kolega po fachu z Rejowca Fabrycznego. Widać, że zawiłości polskiego prawodawstwa potrafią zamroczyć nawet judykaturę. W Zamościu bez pół litra ani rusz. Z innej strony pani sędzia mogłaby z roboty wracać tramwajem, ale niestety w Zamościu tramwajów nie ma.

▮ Sąd Rejonowy w Szamotułach dwukrotnie skazał tego samego mężczyznę, Pawła S., za kradzież tej samej wody toaletowej o wartości 174,99 zł ze sklepu perfumeryjnego. Pierwszym wyrokiem sąd uznał Pawła S. winnym i wymierzył mu grzywnę 300 zł oraz obowiązek zwrotu równowartości skradzionego towaru. Drugi wyrok w tej samej sprawie był nieco inny, więc złodziej poczuł się oszukany przez sprawiedliwość i uderzył do rzecznika

eprasa.pl bcb600a0bd

kulacja. Gdy w 2023 r. ONZ opublikowało prognozy globalnych migracji, Polska nie była wśród krajów, których depopulacja budziłaby czyjekolwiek obawy. Co więcej, w raportach think tanków zajmujących się rynkiem pracy Polacy coraz rzadziej pojawiali się w kategorii „niechcianych". W Holandii – gdzie Polacy byli przez lata największą grupą migrantów zarobkowych – zaczęły przeważać głosy, że to grupa trudna do zintegrowania, zamknięta, żyjąca w gettach językowych.

Nie trzeba więc wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, że świat nie tylko nie zapłacze po polskiej emigracji – on odetchnie. Bo mniej Polaków za granicą to mniej ludzi, którzy nie znają języka, nie integrują się i zaniżają stawki. Mniej skarg o mieszkanie w 10 osób na 30 mkw., mniej weekendowego pijaństwa na osiedlach socjalnych, mniej tablic rejestracyjnych zaczynających się od „PO" lub „KR", których obecność w zachodnioeuropejskim miasteczku zwiastuje kłopoty.

Polacy wymierają? No i co z tego? Może to właśnie najlepszy prezent, jaki możemy dać światu: spokojne i ciche zniknięcie. Bez dramatów, bez żalu.

Zgodnie z zasadą, że najgrzeczniejsze dzieci to te, które nie przeszkadzają. Albo najlepiej – których w ogóle nie ma.

Co zatem robić? Nic. Demografia nie jest problemem do rozwiązania. Jest faktem do przyjęcia. Mamy mniej ludzi, bo tak wygląda życie. I gospodarka, i klimat, i światopogląd. Jeśli naprawdę chcemy zachować strukturę społeczną, powinniśmy po prostu pogodzić się z faktem, że dzieci w Polsce rodzić się nie będą. I otworzyć się na tych, którzy dzieci jeszcze mają. Albo mieć chcą. Trzeba ściągać ludzi z zewnątrz. Z Białorusi, z Nepalu, z Uzbekistanu, z Nigerii. Kto przyjedzie, ten będzie.

Jesteśmy coraz starsi, coraz bardziej samotni i coraz mniej nas. I dobrze. Bo przynajmniej nie będzie nikogo, kto by narzekał, że jest nas za dużo.

TADEUSZ JASIŃSKI

wadzenie uczciwych zasad gry w zatrudnieniu ma być więc wdrażane stopniowo. Ministerstwo liczy na to, że będzie efekt edukacyjny i że wielu pracodawców wprowadzi u siebie umowy o pracę bez interwencji inspekcji pracy. Spodziewany wzrost przychodów budżetu to zaledwie 212 mln zł. Ale od czegoś trzeba zacząć. Wreszcie niebagatelny efekt tego nowego prawa to odblokowanie wielkich pieniędzy z KPO.

I mimo że projekt wzmocnienia uprawnień inspekcji pracy jest na szybkiej ścieżce legislacyjnej rządu, panią minister czeka jeszcze ciężka walka o doprowadzenie sprawy do końca. Z badań opinii publicznej wynika, że za reformą jest ponad 60 proc. Polaków. Jest więc szansa, że tak popularne zmiany poprze prezydent Nawrocki. Trzymam kciuki, żeby się udało. To początek realnej walki z wyzyskiem.

PIOTR IKONOWICZ

Słodkie białaski?

ETYKA BEZBOŻNA

Aby Polak był polski

Rys. WIDGET

Demografowie uprzejmie donoszą, że ich zdaniem, jak się nie postaramy (a się nie postaramy), to za 40 lat będzie Polaków o jedną trzecią mniej niż teraz. O kolejne 40 lat lepiej nie pytać. Oczywiście nie chodzi im o to, że po Warszawie będzie hulał wiatr. Mają na myśli Polaków-Polaków czy jak to jeszcze najdelikatniej nazwać. Bo jacyś chętni do zamieszkania w Polsce, a nawet do bycia polskimi obywatelami się znajdą. To pewne jak amen w pacierzu i nawet więcej – jak globalne ocieplenie.

No i mamy temat. Jeden z tych, które są jak cienka lina – gibniesz się parę centymetrów w lewo albo w prawo, a już leżysz na łopatkach jako faszysta i rasista. Doświadczył tego kilkanaście lat temu kolega biskup Jędraszewski Marek, który postraszył nas, że jeśli jako Europejczycy „zapomnimy, kim jesteśmy w sensie biologicznym", to za 50 lat będą nas trzymać w rezerwatach. Była to tak szokująca, jawnie rasistowska wypowiedź, że chyba nikt poza piszącym te słowa nie próbował jej publicznie piętnować. Za duże to było „g…", aby jego w ogóle tykać. Pamiętam, jak musiałem w TVN „dyskutować" o tej pięknej frazie ze słynną orędowniczką Pana Jezusa i Zbigniewa Z. Beatą Kępą.

Tylko że Jędraszewski na swój chamski sposób wyraził „zakazane obawy", które żywi większość ludzi. Trzeba nauczyć się o nich mówić otwarcie. Więc spróbujmy. Zacznijmy może od tego, że kolor skóry i temu podobne cechy „rasowe" nie są żadną wartością podlegającą ochronie. Może byłoby szkoda, gdyby ze świata zniknęli piękni blondyni o niebieskich oczach, lecz zmniejszenie się ich odsetka w całości populacji nie stanowi problemu, o ile nie mieliby zniknąć całkowicie. Sprawa „ubywania Polaków" czy innych nacji nie ma wszelako nic wspólnego z cechami wyglądu. Albo prawie nic. Niechby sobie byli Polacy czarni! Oderwijmy się od kontekstu rasowego i całej nieszczęsnej, jak to ujął Jędraszewski, „biologii". Więc co zostaje? Zostają kultura, religia, obyczaj, polityka. No i związek tych rzeczy z demografią. Związek skomplikowany.

Na granicy politycznej poprawności jest mówienie, że jak się nie będziemy rozmnażać, to nie będzie komu na nas robić. To bardzo pragmatyczne wyjaśnienie powodu, dla którego powinniśmy chcieć, aby rodziło się u nas więcej dzieci. Tyle że to tylko przykrywka. Bo jak na to odpowiesz, że przecież niedobory rąk do pracy mogą uzupełnić imigranci, to zaraz robi się markotnie. No bo i tak wszyscy wiedzą, że tak naprawdę sprawa „ubywających Polaków" dotyczy siły i dumy wynikającej z ilości, a „naszość" naszych, czyli Polaków, jednak ma związek z krwią i dziedziczeniem. Nie chodzi o kolor skóry, lecz raczej o pokrewieństwo. W końcu „naród", jak sama nazwa wskazuje, złożony jest z tego, co się „narodziło", a więc w istocie jest jednym wielkim rodem, rodziną. A jeśli rodzina jest większa, to zawsze lepiej, niż gdy jest mniejsza. Można się na to zżymać, ale dokładnie o to chodzi, gdy wzywa się kobiety do rodzenia dzieci. Naszych polskich dzieci. Nie „słodkich białasków", których wszak globalnie jest coraz mniej, lecz „małych Polaków" – albowiem liczy się polskość, a wygląd jest przy okazji. No bo jak się nie urodzi małych Polaków dostatecznie wielu, to będzie więcej dzieci arabskich, ukraińskich i Bóg wie jakich jeszcze i po kilku pokoleniach nie będzie już Polski, tylko jakaś mieszanka.

Dobrze. Uznajmy, że udało się wyłożyć karty na stół i powiedzieć otwarcie, o co w tych wszystkich niepokojach demograficznych w ogóle chodzi. I skoro mamy już tę „trudną rozmowę" za sobą, to zapytajmy, czy mamy moralne prawo do takiego stawiania sprawy. Czy jest coś dobrego w tym, żeby polskość (wraz z drugorzędną, ale jednak, sprawą wyglądu) się utrzymywała, a nawet żeby rosła, nie dopuszczając do tego, by jej miejsce na terytorium Polski zajęła jakaś niepolskość, bądź żeby jakaś niepolskość z czasem integrowała się z polskością i ją zmieniała?

Nie potępiam nikogo, kto uważa, że polskość kulturowa (nie „rasowa") powinna być chroniona, a najlepszym na to sposobem jest pobudzanie rozrodczości Polaków i ograniczanie napływu cudzoziemców. Takie myślenie mieści się w spektrum normalnych poglądów konserwatywnych. Moje zdanie jest jednakże inne. Owszem, poniekąd fajne jest to, co jest, ale i tak musi zniknąć.

To, co jest „naszością" czy polskością, tak jak ją czujemy i rozumiemy, ma może i długi rodowód, lecz bardzo niewiele lat. Nasi przodkowie sprzed kilkunastu dekad byli o wiele bardziej różni od nas, niż – powiedzmy – my jesteśmy dziś różni od Ukraińców.

Z marnej perspektywy jednego ludzkiego żywota „charaktery narodowe" i różne wyobrażone „Polski" czy „Rumunie" wydają się rozległe i trwałe. Tymczasem są to kulturowe efemerydy, które szybko znikają, ustępując miejsca innym formacjom. Wielkie procesy cywilizacyjne i kulturowe zmieniają cały świat i wszystkie narody – niczego nie da się zachować na dłużej. Jedynie język zmienia się wolno, choć pewnie za 100 lat i tak nikt nie będzie się biedził czytaniem naszej polszczyzny. Dlatego generalnie lepiej zachować stoicki spokój.

Zamiast molestować kobiety i kazać im w patriotycznych bólach rodzić więcej dzieci, na co nie mają ochoty (bo są w naszych czasach lepsze rzeczy do roboty w młodych latach), po prostu pogódźmy się z tym, że świat się zmienia. Nie ma żadnego znaczenia, czy za 40 lat będzie nas 26 mln, czy może 30. Świat będzie tak dramatycznie różny od tego, który znamy, czyli od naszego poczciwego świata nad Wisłą z roku 2025, że stawianie na produkcję słodkich bombelków jest po prostu dziecinne. Bombelków nie zabraknie, także nad Wisłą. Czy będą takie, czy inne, to nie jest ważne. W każdym razie na pewno będą inne niż my. To jedno jest pewne. Za to nie jest pewne, czy będą miały dobre życie na przegrzanej planecie rządzonej przez sztuczną inteligencję. Żadne „polityki demograficzne" nie uchronią nas od konfrontacji z potworem, który czai się na nas w ciemnym lesie przyszłości. W tych okolicznościach przyrody warto mieć dużo lat!

JAN HARTMAN

praw obywatelskich. Rzecznik złożył kasację, a Sąd Najwyższy w pełni przyznał rację RPO, uznając, że doszło do „oczywiście zasadnego" naruszenia prawa złodzieja ukaranego podwójnie. Wszystkie instancje skazujące i nieskazujące były trzeźwe, co naprawdę tym gorzej świadczy o polskim wymiarze sprawiedliwości.

▮ 36-letnia Magda N. z gminy Raciąż przez ponad rok okradała 81-letnią sąsiadkę, zabierając małe kwoty, by nie wzbudzić podejrzeń. Łącznie zniknęło 19 tys. zł. Do domu wchodziła przy pomocy kluczy – oryginalnych lub dorobionych. Sprawę odkryła rodzina, instalując fotopułapkę, która nagrała złodziejkę. Kobieta przyznała się do winy. Grozi jej 10 lat więzienia. Ale najważniejsze, że o sprawie jako pierwszy doniósł portal Business Insider, czyli – tłumacząc dosłownie, choć nieporadnie – „wtajemniczony w sprawy biznesu". Wygląda więc na to, że w Polsce pojawił się nowy model przedsiębiorczości: domowe oszczędności sąsiadki jako kapitał początkowy.

▮ Wrocławski Budżet Obywatelski 2025 okazał się areną wyborczych szwindli. Miasto złożyło zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa po wykryciu nieprawidłowości w głosowaniu. Analiza wykazała m.in.: 320 głosów oddanych z jednego i tego samego komputera, powtarzające się imiona i nazwiska oraz nienaturalnie dużą liczbę głosów osób w wieku 90–99 lat. Miasto przeprowadza wewnętrzną analizę i przypomina, że podobne przypadki zgłaszano już w latach 2022 i 2023. Wygląda na to, że we Wrocławiu staruszki w wieku 90–99 lat nagle zainteresowały się budżetem obywatelskim. Albo ktoś postanowił wykorzystać ich dane, żeby przepchnąć swoje projekty. Tak czy inaczej, demokracja w wydaniu wrocławskim to niezły kabaret.

▮ W październiku 2025 r. Polacy sprowadzili 85 130 używanych samochodów osobowych i dostawczych – o 8,9 proc. mniej niż rok wcześniej. Średni wiek importowanego auta to 12,4 roku. Najczęściej sprowadzane modele to nieśmiertelna trójca: Volkswagen Golf (18 750 sztuk), Opel Astra (18 686) i Audi A4 (15 512). W kategorii dostawczaków niezmiennie króluje Renault Master – ulubieniec wszystkich, którzy muszą coś przewieźć, ale niekoniecznie chcą dojechać. Najwięcej aut nadal przyjeżdża z Niemiec – 52 proc. całego importu. Potem długo, długo nic, a dopiero za nimi Francja, USA, Belgia i Holandia. I cóż tu dużo mówić – możemy mieć do Niemców pretensje o historię, politykę, gospodarkę, ale nie o samochody.

▮ Szef czeskiego RegioJetu Radim Jančura zarzucił PKP Intercity, że blokuje mu wejście na polskie tory. Twierdzi, że bliżej niezidentyfikowani ludzie naciskali na PKP Cargo i PKP PLK, żeby nie dopuścić Czechów do zaplecza technicznego w Warszawie i torów w Krakowie Prokocimiu. PKP wszystkiemu zaprzecza, mówi o pomówieniach. Sprawą zajmują się już prokuratura i ABW. Jeśli to prawda, to polskie koleje obrały fatalną strategię. Zamiast konkurować, próbują zasiekać granice torami. A przecież gdybyśmy myśleli po europejsku, to za czeski napad odwet należałoby zorganizować Niemcom albo Francuzom, żeby to oni zaatakowali Pepików parowozami od tyłu. W końcu walka o wspólny rynek wymaga wspólnego wysiłku.

▮ Jeżeli chodzi o Zakopane, to władze miasta są – i nie są – zainteresowane budową północnej obwodnicy, której koszt szacowany jest na ok. miliard złotych. Zarząd Dróg Wojewódzkich w Krakowie kończy opracowanie wariantów trasy i zamierza uzyskać decyzję środowiskową. Miasto samo jednak do trasy się nie dorzuci. – Nie jesteśmy zobligowani do partycypacji w kosztach budowy drogi wojewódzkiej – oświadczył wiceburmistrz Bartłomiej Bryjak. I trudno się dziwić – Zakopane od zawsze jest biedne w pieniądzach, ale bogate w pomysłowość. A po co finansować drogę, która pozwoliłaby turystom ominąć tę górską perłę szerokim łukiem? Samorząd jednak kombinuje, że inwestycja finansowana z województwa i funduszy zewnętrznych rozładuje wreszcie zakopiańskie korki. I tu trzeba przyznać rację. To projekt, który cała Polska powinna wesprzeć. Nie po to, żeby szybciej dotrzeć do Zakopanego, tylko żeby dało się je skutecznie ominąć. Drogo? Na początku tak. Ale potem – jaka ulga.

▮ Rząd z rozmachem ogłosił, że przeznaczy 5 mld zł na Program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej. Samorządy mają się zbroić po zęby: budować schrony, kupować sprzęt ratowniczy i szkolić ludność w reagowaniu kryzysowym. Najwięcej otrzymają województwa: śląskie, małopolskie, dolnośląskie i wielkopolskie. To jednak strategia godna politowania. Prosty rachunek mówi wszystko: 5 mld podzielone przez 37 mln mieszkańców to jakieś 135 zł na głowę. Za te pieniądze każdy obywatel mógłby sam zadbać o swoje przetrwanie, kupując trzy flaszki na odwagę. A tak przyjdzie nam, nie daj Boże, brać tę wojnę na trzeźwo.

▮ W Ameryce, jak za czasów Dzikiego Zachodu, trwa łapanka, tyle że na Polaków. Donald Trump, niczym szeryf z westernu, obiecał rozprawić się z nielegalnymi imigrantami, a służby robią, co mogą, by dotrzymać słowa. Polonia drży ze strachu, ale najgorsze jest to, że sami Polacy donoszą na siebie nawzajem. Informują o nielegalnym pobycie innych, często z zawiści lub dla korzyści finansowych. Polacy opowiadają, że przestają się udzielać w polonijnych środowiskach, unikają kontaktu z innymi Polakami konfidentami i żyją w lęku przed wydaniem. To żadna nowość. Już w latach 90. Polacy donosili na siebie z chciwości lub z powodów osobistych. Podobnie było za komuny, a także za okupacji. No cóż, Polak Polakowi Polakiem albo mówiąc dosadniej: Polak to świnia.

▮ 22-letni żołnierz 23. Śląskiego Pułku Artylerii z Bolesławca podpalił się na drodze w Nowej Wsi Grodziskiej. Kilka godzin wcześniej został odesłany ze służby po konflikcie w pracy. Płonącego mężczyznę zauważył kierowca, który próbował ugasić ogień kurtką. Żołnierz został przetransportowany śmigłowcem LPR do szpitala w Nowej Soli. Jego stan jest ciężki – doznał rozległych poparzeń. To, oczywiście, ważna lekcja dla wszystkich planujących samopodpalenie: nie wystarczy się podpalić, trzeba jeszcze wiedzieć, gdzie i kiedy. W 1963 r. mnich Thich Quang Duc zrobił to w centrum Sajgonu i trafił na okładki gazet od Nowego Jorku po Tokio. U nas? Podpalając się na polnej drodze do Nowej Wsi, gdzie nawet Google Street View się kończy, zamiast do historii, można trafić co najwyżej do rubryki „Wieści gminne".
Z ostatniej chwili: z przykrością informujemy, że żołnierz zmarł.

RJ

PS Informacje pozyskano z mediów terenowych pracujących ofiarnie na froncie walki o prawdę. Ich doniesieniom można wierzyć całkowicie lub z pewną rewolucyjną ostrożnością. Za ewentualne przejawy dezinformacji przepraszamy w imieniu ludu pracującego miast i wsi, a odpowiedzialność – zgodnie z najlepszymi tradycjami – przekazujemy wyżej.

eprasa.pl bcb600a0bd

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Setna rocznica urodzin Zygmunta Baumana

Lewacy, do boju!

Bauman, twórca klasycznej pozycji „Nowoczesność i Zagłada”, promowany przez Amerykę turbokapitalizm i kult wszechmocy rynku określał mianem totalitaryzmu. W ostatniej instancji bowiem celem totalitaryzmu jest przejęcie kontroli nad każdym aspektem życia ludzkiego.

Jest taki program do oceny wpływu naukowców – liczby publikacji i cytowań – Publish or Perish. Lata temu, aby przestać się dołować tym, jak marniutkie mam międzynarodowe osiągnięcia, wpisałam imię i nazwisko mojego guru – Zygmunta Baumana. I okazało się, że twórcy programu nie przewidzieli, że ktoś będzie miał (licząc tłumaczenia na języki obce) ponad 999 publikacji… Samych książek nieżyjący już socjolog opublikował 70, z czego ostatnia „Retrotopia” ukazała się pośmiertnie.

Ale mniejsza o ilość, ważniejsza jest jakość. O kilka długości przed wszystkimi innymi polskimi badaczami z nauk społecznych i humanistyki Bauman był, jest i w przewidywalnej przyszłości będzie najczęściej cytowanym autorem. Postaram się pokrótce pokazać, na czym polega jego fenomen, lecz zacznę od krótkiego życiorysu, w którym odbijają się pokręcone losy Polaków w przedwojennej II Rzeczypospolitej, Polsce Ludowej i ponownie kapitalistycznej Polsce po 1989 r.

Gorzkie losy wygnańca

Sto lat temu, 19 listopada 1925 r., w Poznaniu urodził się w rodzinie żydowskiego pochodzenia chłopiec – Zygmunt. Po latach, opierając się na własnym doświadczeniu, podkreślał, że przedwojenna Polska była krajem szokującego ubóstwa, masowego bezrobocia i beznadziei, zwłaszcza dotkliwych na wsi.

Myśliciel w wywiadzie rzece, przeprowadzonym przez Romana Kubickiego i Annę Zeidler-Janiszewską „Życie w kontekstach”, mówił bez ogródek: „Była też ta Polska gościnna dla możnych, a bezlitosna, współczucia wyzbyta dla tych, którzy od ich łask zależeli, zmuszając tych drugich, podobnie jak mojego Ojca, do wymiany godności ludzkiej na chleb dla rodziny. Wszystko to pamiętałem, jak pamiętałem kuksańce, kopniaki, szturchania kolegów szkolnych (wzorem starszych braci czy kuzynów z uniwersytetów, i mnie, smarkatego gimnazjalistę, zapędzili już pierwszego dnia do ławkowego getta), których wspomnienie bolało na długo potem, jak sińce znikały i ból fizyczny ustawał i obelgi i upokorzenia obliczone na to, by trwać wiecznie”.

Nie powinno zatem dziwić, że w obliczu antysemityzmu przedwojennego i zagrożenia ze strony hitleryzmu młody Zygmunt zauroczył się ideami komunistycznymi. W końcu komuniści obiecali, że pochodzenie narodowe nie będzie miało w przyszłym społeczeństwie żadnego znaczenia. Zaciągnął się do armii Berlinga, przeszedł z nią szlak bojowy od podcharkowskich Sum i wołyńskiej Ołyki przez Wał Pomorski, Kołobrzeg, frontowy lazaret aż do Berlina. Został odznaczony za męstwo w przełamywaniu Wału Pomorskiego.

Po wojnie jego 4. Dywizja im. Jana Kilińskiego weszła w skład Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, mającego zwalczać – jak wtedy mówiono – „zbrojne bandy”, podziemie antykomunistyczne, czyli obecnych żołnierzy wyklętych czy też niezłomnych. Wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej, współpracował z informacją wojskową, gdyż – jak sam twierdził – „jak na żółtodzioba przystało, o tych sprawach wiedziałem tylko z powieści i sądziłem, że pomoc kontrwywiadowi wojskowemu jest dla oficera oczywistym patriotycznym obowiązkiem wobec sił zbrojnych i państwa, jakiego w ich szeregach broni. Wszystko, co się stało, potraktowałem hurtowo niemal jako powołanie do owego »wkładu do budowy socjalizmu«, jakiego szczerze pragnąłem”.

Szybko dostrzeżono niepospolity intelekt Baumana i trafił on na Wydział Filozoficzny UW, gdzie zajął się studiowaniem – a następnie wykładaniem – socjologii, czyli wiedzy o stanie społeczeństwa. Szybko okazało się, że realny socjalizm nie spełniał własnych obietnic i baumanowa teczka w bezpiece szybko zaczęła pęcznieć. Telefon miał na podsłuchu. Skonfiskowano jego rękopisy. Pobito wychodzących z urodzin córki gości.

Po antysemickiej nagonce 1968 r. rodzina Baumanów wyjechała. Początkowo do Izraela, ale Zygmuntowi nie było po drodze z żadnym nacjonalizmem, także żydowskim. Osiadł w angielskim Leeds, gdzie mieszkał do końca życia. I pisał książki, które zdobywały światowy rozgłos.

O ile nigdy nie miał serca do Izraela, zawsze ciepło myślał o Polsce. W odróżnieniu od innych, nawróconych z komunizmu na liberalizm czy konserwatyzm, nigdy nie zamierzał przepraszać za swój życiorys. Strasznie przeżywał atak nacjonalistów i antysemitów na swój wykład we Wrocławiu w 2013 r., umożliwiony wyłącznie dzięki interwencji na Uniwersytecie Wrocławskim oddziałów policji. Prawica nienawidziła go za socjalistyczne poglądy, życzliwość wobec imigrantów i antykapitalizm.

Pierdolić Amerykę i kapitalizm

Rysem, który przez praktycznie 60 lat jego aktywności naukowej przewija się nieustannie, jest radykalna krytyka kapitalizmu, europejski patriotyzm i bezpardonowa awersja wobec Stanów Zjednoczonych. Jego zdaniem Europejczycy nie powinni naśladować Amerykanów, bo nic dobrego im z tego nie przyjdzie – mają własną historię, własną tradycję, także intelektualną.

Bauman porównywał Stany Zjednoczone do Cesarstwa Rzymskiego, powtarzając za Monteskiuszem, że imperium stworzone przez wojnę, chcąc przetrwać, musi prowadzić wojny. Broń, którą dysponuje, skłania do podjęcia decyzji, które wojny prowadzić, lecz nie ulega wątpliwości konieczność prowadzenia wojen jako takich. Tu pojawia się, rzecz jasna, hipokryzja, bo realne cele wojen mają się nijak do celów deklarowanych.

Bauman był bezsprzecznie nieprzejednanym przeciwnikiem tzw. wojny z terroryzmem, w której – przyznaję ze smutkiem – swoją rolę odegrała Polska. Jak ujął to w książce „Płynny lęk”, prawdziwą i możliwą do wygrania wojnę z terroryzmem „prowadzi się nie dewastując i tak na półzrujnowanych irackich czy afgańskich miast i wiosek, lecz anulując długi biednych krajów, otwierając nasze bogate rynki dla ich podstawowych produktów, finansując edukację dla 115 milionów dzieci obecnie pozbawionych dostępu do jakiejkolwiek szkoły oraz walcząc o inne podobne środki, przyznając je – i wdrażając”.

talizmu, ciągłego podboju i możliwości istnienia wyłącznie dzięki przestrzeniom, które są niekapitalistyczne. Bauman cierpko zauważył, że Luksemburg zbyt dosłownie to pojmowała – w sensie geograficznym – tymczasem jeśli uznać szerszy horyzont, czyli np. przestrzenie relacji międzyludzkich (w tym rodzinnych, sąsiedzkich i wielu innych), to Róża miała rację.

Nie przez przypadek wszak Bauman napisał wstęp do polskiego wydania książki Haralda Welzera „Wojny klimatyczne. Za co będziemy zabijać w XXI wieku?”, zauważając w nim cierpko: „Sposób życia przyjęty od pewnego czasu przez gatunek homo sapiens, ochrzczony mianem »kapitalizmu«, polegał już wtedy, jak i dziś polega, nie tyle na samoodtwarzaniu się, ile na kompulsywnej ekspansji; nie mógł kapitalistyczny sposób życia i ludzkiego współżycia trwać inaczej niż na drodze »reprodukcji rozszerzonej« wbudowanej w jego sposób istnienia – będącej jego sposobem istnienia”.

Bauman zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że kapitalistyczna machina musi pochłaniać wciąż nowe zasoby, aby produkować coraz więcej i więcej. Cyferki w tabelkach w Excelu muszą się zgadzać, choć nasza planeta ledwo zipie. W ciągu 250 lat trwania kapitalizmu zniszczono więcej fundamentów przeżycia gatunku niż przez wcześniejsze 40 tys. lat cywilizacji ludzkiej…

Lewy sierpowy

Nasz świat jest przesycony lękami, niepewnością i poczuciem zagrożenia. Skutecznie podkopują one wolność; zresztą trudno mówić o jakiejkolwiek wolności w istotnym sensie tego słowa, gdy żyje się w społeczeństwie naznaczonym masowym ubóstwem i wołającymi o pomstę do nieba nierównościami. Wtedy pojawia się ciągota, aby nie uderzać w źródła naszej niepewności, które są potężne i dalekie – zwykle też bezosobowe, funkcjonujące jako tzw. wolny rynek czy też (ostatnio) robotyzacja i sztuczna inteligencja – lecz szukać kozłów ofiarnych. Ludzi bezbronnych, a przez swą kruchość bardzo przydatnych w zgoła orwellowskich seansach nienawiści.

A najłatwiej bić w obcych. Kolorowych. Niemówiących w naszym języku. Wyznających inną religię. Uchodźców, szukających schronienia przed wojną i głodem. Imigrantów, pragnących zapewnić lepszy byt nawet nie sobie, lecz swoim dzieciom. W katolickim kraju przykazanie miłości bliźniego nie przyjęło się szczególnie dobrze, gdy ten bliźni jest jakoś tam odmienny od nas. Ale o czym tu mówić, jak oczekiwać serdecznego przyjęcia osoby z Bangladeszu, gdy wystarczą odmienne preferencje polityczne, a ludzie w Polsce (i nie tylko u nas) nie chcą rozmawiać nawet z najbliższą rodziną?

Bauman przestrzegał przed wrogą pokojowemu współżyciu demagogią powrotu do wspólnoty, w której jest ciepełko, w której „my” jesteśmy zawsze u siebie, tylko z naszego milutkiego kręgu trzeba się pozbyć „ich”. „Nas”, swojaków, jest zawsze za mało, „ich” jest zawsze za dużo, a może najlepiej byłoby, gdyby nie było ich wcale… Oni, powiedziałby Bauman, to ludzie na przemiał, których życie jest bez większego znaczenia, bo nie pełnią żadnej przydatnej funkcji w panującym obecnie ładzie.

Jeśli polska lewica ma odgrywać w przyszłości jakąkolwiek poważną rolę, to powinna czerpać garściami z dorobku Baumana. Odszedł on co prawda do krainy płynnej wieczności, lecz jego idee są wciąż żywe i takimi pozostaną, póki zaraza zwana kapitalizmem będzie toczyła Najjaśniejszą i cały świat.

Bauman nie odczuwał tęsknoty za socjalizmem, bo nigdy nie wyrzekł się wiary w mądrość i humanizm socjalistycznych poglądów, choć z czasem zaczął się odcinać od socjalizmu jako wyraźnego projektu i określonego typu społeczeństwa. Socjalizm dla niego to postawa, zasada przewodnia, krytyka zastanej rzeczywistości. Jak pisał: „Socjalizm oznacza dla mnie wzmożoną wrażliwość na nierówność i niesprawiedliwość, ucisk i dyskryminację, poniżanie i pozbawianie człowieka godności. »Socjalistyczna postawa« oznacza sprzeciw i opór wobec tych aktów przemocy, bez względu na to, gdzie i kiedy do nich dochodzi, w czyim imieniu ich się dokonuje i kim są ich ofiary”.

W dobie Trumpa 2.0 w USA i dwóch Konfederacji w Polsce pozostaje mieć nadzieję, że lewica na świecie i w naszym kraju w końcu się ogarnie (kibicuję nowemu burmistrzowi Nowego Jorku!) i wyprowadzi wreszcie lewy sierpowy, który – jak twierdził Walter Benjamin – kończy wszelkie walki społeczne!

KATARZYNA KOENIG

Prawo chce bardziej

Czy w dyskusji o prawomocności orzeczeń neosędziów ktoś zwrócił uwagę na niesprawiedliwą literę prawa?

Pan Tadeusz był z tych ludzi, którzy nie znoszą bałaganu. Wszystko miał uporządkowane. Klucze do garażu w szufladzie, rachunki w kopertach, nawet wspomnienia trzymał w segregatorze. Mówił, że człowiek powinien za życia zrobić porządki – nie tylko w szafie, ale i w papierach. A najważniejsze – nie zostawić po sobie wojny domowej.

Po sprawiedliwości

„Nie proszę, tylko stawiam warunek” – powtarzał dzieciom, kiedy zaczynał temat spadku. „Każdy dostanie, co mu się należy, ale po mojej śmierci nie chcę żadnych sądów ani kłótni”.

Miał trójkę dorosłych dzieci: Annę, Marka i Jolę. Wszystkich kochał, choć każde inaczej. Anna była najstarsza, odpowiedzialna i zawsze z terminami w kalendarzu. Marek – złota rączka, która potrafiła zepsuć i naprawić to samo w jeden dzień. Jola – najmłodsza, trochę z artystycznym temperamentem i głową w chmurach.

Pan Tadeusz myślał długo, jak to rozdzielić, żeby było „po sprawiedliwości”. Dom w podwarszawskim Raszynie dał Markowi, bo ten go od lat remontował. Mieszkanie w Warszawie przepisał na Annę – bo to ona pomagała mu przy papierach i opiekowała się nim po udarze. Jolce – działkę nad Bugiem, gdzie kiedyś wszyscy razem sadzili ziemniaki, a dziś można by postawić domek letniskowy.

Zrobił to wszystko u notariusza, elegancko, „darowizna”, „akt własności”, „bez zobowiązań”. Podpisał, odetchnął i powiedział dzieciom, które przyjęcia darowizn też podpisały: „Z głowy. Niech każdy żyje po swojemu. Jak umrę, po mnie nic już nie będzie do dzielenia”.

Przez następne 20 lat był spokojny. Dzieci go odwiedzały, choć coraz rzadziej. Dom tętnił życiem, dopóki żył. A potem pan Tadeusz odszedł spokojnie, w marcu, po siedemdziesiątce.

Gdyby mógł, to już w tydzień po pogrzebie by się z grobu podniósł. Zaczęło się to, czego najbardziej chciał uniknąć.

Zapomniana masa

„Tata nie zostawił testamentu?” – zapytała Jola.

„Nie musiał, wszystko przepisał wcześniej” – odpowiedziała Anna.

eprasa.pl bcb600a0bd

Pierwszy milion Rymanowskiego

Dziś prawdziwe pieniądze robi się na nieprawdzie

Czy naukowiec może publicznie kłamać? Czy dziennikarz ma obowiązek takie kłamstwa prostować?

Taka debata rozgorzała po wywiadzie redaktora Bogdana Rymanowskiego z profesor Grażyną Cichosz opublikowanym na jego youtube'owym kanale. Burza wybuchła niespodziewanie, bo Rymanowski to zawodowy i doświadczony dziennikarz regularnie w licznych mediach wywiadujący.

A profesor Cichosz to emerytowana pracowniczka naukowa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Specjalizująca się w technologii żywności oraz promocji wiedzy o zdrowym stylu życia. Ale tym razem nie skończyło się na promocji zdrowej żywności. Pani profesor Cichosz podjęła liczne medyczne tematy niepowiązane bezpośrednio ze zdrowym życiem i zasypywała słuchaczy Rymanowskiego kłamstwami.

O historii i znaczeniu choroby Leśniowskiego-Crohna, o nietrawieniu białka z soi przez żołądki ludzkie, aż po wyjątkowo szkodliwą i zabójczą tezę, że szczepionki powodują spektrum autyzmu.

A na to redaktor Rymanowski ani be, ani me, ani kukuryku. Jak mawiał prezydent Wałęsa.

Kłamstwa bezkarne

Polscy naukowcy szybko i zgodnie zareagowali na kłamstwa profesor Cichosz. Oburzali się i prostowali je w mediach. Zwykle w nieinternetowych. Czyli w innej bańce informacyjnej. Prostowali indywidualnie, bo żadna z instytucji reprezentujących polskie środowisko naukowe nie zabrała głosu. Nikt nie palił się też do wyciągania konsekwencji wobec kłamczuchy, do dyscyplinowania jej. Bo okazało się, że nie ma formalnych podstaw do tego.

Przedstawiana w mediach jako profesor Grażyna Cichosz ma doktorat z technologii żywności. Niekwestionowany, bo pisząc pracę doktorską, nie kłamała. Nie złapano jej też na plagiacie. Kiedyś rzeczywiście pracowała na uniwersytecie na stanowisku profesora. Teraz jest emerytką. Jej była uczelnia nie ma nad nią już władzy ani kontroli. Nawet nie może zabronić używania przez nią w mediach uwiarygadniającego ją tytułu profesora.

Polskie media, zwłaszcza te internetowe, nie działają jak prawdziwe naukowe media. Tam żeby opublikować artykuł, trzeba mieć pozytywne recenzje przynajmniej dwóch poważnych naukowców z tej dziedziny. W internecie doktor Cichosz może mówić, co zechce i kłamać, ile zechce. Bo ona tam uprawia jedynie publicystykę naukową. W takich przypadkach ludzie nauki mogą jedynie informować, że to, co mówi doktor Cichosz, jest niezgodne z aktualnym stanem wiedzy. „Nic ponad to" – wzdycha bezradnie prof. Grzegorz Węgrzyn, wiceprzewodniczący Rady Doskonałości Naukowej.

Zatem każdy emerytowany profesor, doktor czy magister o przekonywującym tembrze głosu może dziś w internecie kłamać, ile zechce. Bez obawy o pociągnięcie do odpowiedzialności, jak to czyniła doktor Cichosz. Chyba że zaczęłaby obrażać uczucia religijne Polaków albo plugawić prezydenta RP. Wtedy redaktor Rymanowski musiałby zareagować.

Mikrofon dla wszystkich

Nie reagował, choć obowiązujący nadal kodeks etyki dziennikarskiej jest w takich przypadkach jednoznaczny. Dziennikarz ma obowiązek prostować nieprawdę. A popełnione przez niego „błędy i pomyłki wymagają jak najszybszego sprostowania, nawet jeśli nie były zawinione przez autora lub redakcję i bez względu na to, czy ktokolwiek wystąpi o sprostowanie".

Ale Rymanowski oczywistych nieprawd prostować nie chciał. Może dlatego, że prawdy zwyczajnie nie znał? Może nie miał pojęcia o tym, co doktor Cichosz będzie jego słuchaczom mówiła.

Skrytykowany za bierność uznał, że najlepsza obroną jest atak. Na portalu X napisał: „Wolność słowa. Albo jest, albo jej nie ma. Tertium non datur. Każdy zasługuje na wysłuchanie. Żadni »policjanci myśli« nie mogą dyktować dziennikarzowi, kogo może, a kogo nie może zapraszać. Wierzę w zdolność moich widzów do samodzielnego myślenia i wyciągania wniosków. Cieszę się, że Rymanowski Live ma już 450 tysięcy subskrypcji. Dopiero się rozkręcam".

Ogłosił tym, że w przyszłości palcem nie ruszy, kiedy jego goście będą okłamywać jego słuchaczy. Bo to jego

słuchacz powinien wiedzieć, co kłamstwem jest, a co tylko przypadkowym przejęzyczeniem. Słuchacz powinien studiować przed każdym wywiadem działalność przyszłego gościa. Być czujnym w trakcie, by stale odpowiadać sobie: prawda to czy fałsz?

Za swe lenistwo umysłowe dostał Rymanowski wsparcie od Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. „Deprecjonowanie i brutalna krytyka red. Bogdana Rymanowskiego to próba ograniczenia wolności słowa i niezależności dziennikarskiej. Ma na celu zniechęcenie innych dziennikarzy do podejmowania trudnej i złożonej problematyki wpływu żywności na zdrowie współczesnych populacji oraz różnych, także kontrowersyjnych metod leczenia, do wiedzy o których każdy ma prawo" – zadeklarowała doktor Jolanta Hajdasz, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i dyrektorka Centrum Monitoringu.

I tak za sprzedawanie w mediach kłamstw redaktor Rymanowski zyskał sławę, pieniądze i pomnikowy wymiar obrońcy wolności słowa.

Niegdysiejsze sprostowania

Nie uwierzycie mi, ale jeszcze niedawno było w polskich mediach inaczej. Kiedy zaczynałem dziennikarską robotę w redakcji „itd", uczono mnie, że robiący wywiad dziennikarz nie może być tylko bezmyślnym dyktafonem, radiowym mikrofonem. Nie może jedynie nagrywać wypowiedzi osoby wywiadowanej. By potem spisać ją, jak leciało. I jedynie dla zachowania pozoru formy dziennikarskiego wywiadu spisany słowotok podzielić pytaniami w rodzaju: „A to ciekawe, co pani mówi!", „Rzeczywiście tak było?", „Czy pani jest tego pewna?", aż po emocjonalne: „Ojej, to niesamowite!".

Wtedy, w drugiej połowie XX w., zawodowy dziennikarz przed robieniem wywiadu najpierw czytał książki, publikacje kandydata na wywiad. Oglądał jego filmy, badał jego dorobek zawodowy. Przed rozmową z nim pisał sobie scenariusz wywiadu. Tak komponował kolejność zadawanych pytań, aby wywiad miał swoją dramaturgię.

Bywały wtedy redakcje, które zatrudniały researcherów pomagających zdobywać dokumentację potrzebną dziennikarzom. W dawnej „Trybunie" były korektorki, które potrafiły poprawiać merytoryczne błędy popełnione przez dziennikarzy. Wtedy też bywali sekretarze redakcji, którzy nie dopuszczali do lansowania medialnych hochsztaplerów, pseudonaukowców, choć bywali oni popularni, budzili zaciekawienie i zwiększali sprzedaż egzemplarzy pism.

Była niegdyś w tygodniku „Przekrój" rubryka „W tym tygodniu nie piszemy o". Informująca czytelników, o jakich głośnych, ale drugorzędnych sensacjach jej dziennikarze pisać nie zamierzają.

I wreszcie wtedy oczywistym było, że opublikowane nieprawdy trzeba było prostować. Do historii polskiego dziennikarstwa przeszło takie sprostowanie napisane przez redaktora naczelnego „NIE" Jerzego Urbana pod samokrytycznym tytułem „Jestem chuj, nie redaktor".

Kłamiemy, bo tego chcecie

Dziś redaktor Rymanowski zadowolony jest, że medialna burza wywołana kłamstwami doktor Cichosz i jego nieróbstwem umysłowym rozsławiła go w internecie. Wywiad z doktor Cichosz ma już ponad dwa miliony wyświetleń. Bo sensacyjne kłamstwa napędzają czytelników. A rządzące w internecie algorytmy dodatkowo potęgują popularność, zasięgi takich treści. Można rzec, że techniczne zasady działania mediów internetowych sprzyjają upowszechnianiu kłamstw.

Zauważył to już były amerykański komentator walk MMA, szołmen hardcore'owego programu „Fear Factor", a potem gospodarz programu „Joe Rogan question everything". Tam Joe Rogan początkowo rzetelnie badał przeróżne popularne teorie spiskowe. Szukał Wielkiej Stopy, UFO. Potem zauważył, że prawdziwe pieniądze robi się na nieprawdzie. Zaczął do swego programu, w którym wcześniej rozmawiał z fachowcami, coraz częściej zapraszać promotorów teorii spiskowych, pseudonaukowców, antyszczepionkowców. Choć robił to w ostrożnej formie, to zyskał wielkie zasięgi, no i zarobił na tym miliony.

Autor mądrych radiowych programów popularnonaukowych Tomasz Stawiszyński przestrzega, że przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się pseudonauki i teorii spiskowych nie może polegać jedynie na uciszaniu, piętnowaniu. Jeśli zamiast prezentowania racjonalnego punktu widzenia z szacunkiem dla każdego potencjalnego odbiorcy popłyną tylko pouczania, inwektywy, krzyki i przekonywanie, że w każdej sprawie istnieje stuprocentowo pewne i niezmienne „naukowe" wyjaśnienie, a każdy, kto ma wątpliwości, jest szurem, to popularność najdziwaczniejszych poglądów i ekstremizmów będzie tylko rosnąć.

Na razie ich sprzedawcy rosną w siłę i materialny dostatek. Kłamię, więc jestem?

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

„No właśnie. I to nie jest sprawiedliwe" – wtrącił Marek.

Zaczęli liczyć, porównywać, wyciągać akty notarialne. Anna miała mieszkanie warte dziś milion. Marek – dom, który przez lata wypiękniał i zyskał na wartości. Jola – działkę, która wciąż była dzikim kawałkiem pola, gdzie nawet lisy zaglądały rzadko.

„To nie fair" – mówiła. „Ja dostałam najmniej. A przecież jestem córką". Prawnik, do którego trafiła, uśmiechnął się pobłażliwie. „Pani Jolu, w Polsce darowizna to nie koniec historii. Jest coś takiego jak zachowek". I wtedy po raz pierwszy usłyszała słowo, które dla niej brzmiało jak zaklęcie.

Zachowek to taki prezent od państwa dla tych, którzy czują się pominięci. Gdy ktoś umrze, jego najbliżsi – dzieci, małżonek, rodzice – mają prawo do części tego, co by im przypadło po zmarłym, nawet jeśli wszystko rozdał wcześniej.

Pan Tadeusz myślał, że skoro majątek rozdał za życia, to po śmierci nie będzie już „masy spadkowej". Mylił się. Prawo dolicza do tejże masy darowizny sprzed lat – i to niezależnie od tego, czy minęło pięć, 10, czy 20 lat.

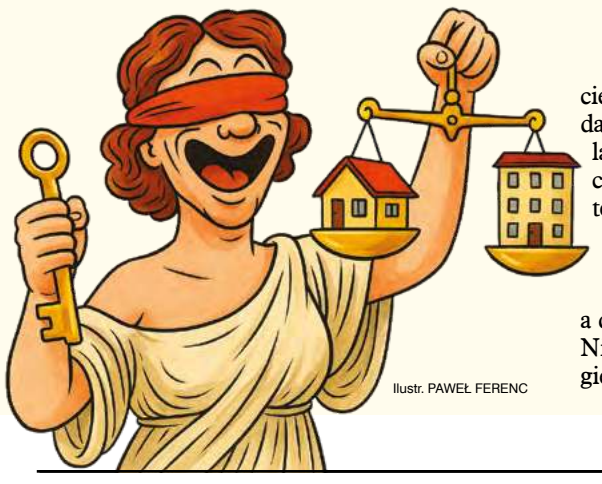

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Darowizna dla dziecka? Zawsze wraca. Dla zięcia albo sąsiada – może i przepadnie po 10 latach, ale dla dzieci – nigdy. Prawo pamięta wszystko. Nawet to, o czym sam darczyńca już zapomniał. I tak sąd policzył: dom w Raszynie – 1,2 mln zł, mieszkanie w Warszawie – 950 tys., działka nad Bugiem – 150 tys. Suma: 2,3 mln zł. Z tego każdemu dziecku należała się – według ustawowych proporcji – równa część. A że Jola miała najmniej, więc wyszło, że Marek i Anna muszą jej wyrównać. Nie w naturze, bo nieruchomości dawno przepisały się i rozbudowały, ale w gotówce.

Po dwóch latach procesów zapadł wyrok: „Zasądza się od Anny i Marka solidarnie na rzecz powódki Jolanty kwotę 340 tys. zł tytułem zachowku". Wtedy Anna się popłakała. Nie z żalu po pieniądzach, tylko po ojcu.

„On chciał dobrze. Rozdał, żebyśmy się nie kłócili".

Prawnik wzruszył ramionami.

„Prawo chce jeszcze lepiej. Prawo chce równo".

Bo w Polsce nie liczy się, że ojciec mówił: „to dla ciebie, żebyś miał", tylko że „dał". A skoro dał, to dał niesprawiedliwie – przynajmniej według kalkulatora zachowku. W sądzie nikt nie pyta o intencje, tylko o kwoty. I nikt nie powie: „To było 20 lat temu, dajmy spokój". Bo w kodeksie nie ma rubryki „dawno i po dobroci". Jest tylko – „wartość darowizny według cen z dnia orzekania".

Czyli jeśli wtedy dom był wart ćwierć miliona, a dziś milion dwieście, płacisz od miliona dwustu. Nie obchodzi nikogo, że to ty włożyłeś w niego drugie tyle, że kredyty, że dach, że nowa elewacja. Dla prawa liczy się stan z dnia darowizny i cena z dnia wyroku. Reszta to szczegóły.

Darowizna z opóźnionym zapłonem

Prawo polskie wymyśliło zachowek po to, by chronić najbliższych przed całkowitym pominięciem. Szlachetny zamiar – w teorii. W praktyce – często bomba z opóźnionym zapłonem.

Wystarczy, że jedno z dzieci uzna, że dostało mniej niż reszta, a cała harmonia sprzed lat zamienia się w rachunek sumienia i w pozew. To dlatego notariusze, którzy widzieli już niejedno rodzinne szczęście, mówią jasno: „Chcesz przekazać dom za życia? Nie rób darowizny. Zrób dożywocie".

Dożywocie to umowa, w której w zamian za przekazanie własności obdarowany zobowiązuje się zapewnić darczyńcy utrzymanie, opiekę, mieszkanie, lekarstwa i godny pogrzeb. To nie jest prezent – to wymiana. I dlatego nie wchodzi do rachunków zachowku. Ale uwaga: musi być prawdziwe. Nie „na papierze", tylko z konkretnymi obowiązkami. Bo jak sąd uzna, że to tak jak z panem Jerzym i Nawrockim – znowu wszystko wraca.

Pan Tadeusz o tym nie wiedział. W jego czasach mówiło się, że „darowizna to rzecz święta". Dziś wiadomo, że święte są tylko przepisy.

Większość Polaków ma wbite w głowę, że jak coś się załatwi za życia, to jest po sprawie. Jak widać, mylą się. Darowizna jest jak kamień rzucony w wodę: krąg po niej może dojść aż do sali sądowej 20 lat później. Czas jej nie unieważnia, nie rozpuszcza, nie wygładza.

Dożywocie – to co innego. Tu świadczenia są wzajemne, a nie jednostronne. Sąd nie może potraktować go jak darowizny, jeśli faktycznie działało. Gdy dziecko utrzymywało rodzica, kupowało leki, płaciło rachunki, karmiło, sprzątało, odwiedzało.

Ale ilu ludzi myśli o takich detalach? Większość idzie do notariusza i mówi: „Niech będzie darowizna, tak szybciej". A potem ich dzieci spotykają się nie na święta, tylko na wokandzie.

Jola dostała swoje. Marek sprzedał działkę, żeby zapłacić. Anna wzięła kredyt. A w rodzinnym grobowcu, jak mawiają sąsiedzi, pan Tadeusz chyba wciąż się przewraca. Bo chciał dobrze. Bo chciał po swojemu, po ludzku. Bo

wierzył, że prawo to tylko potwierdzenie rozsądku. A prawo – jak to prawo – wie swoje. Ono nie słyszy obietnic, tylko słowa w aktach. Nie pamięta rozmów, tylko paragrafy.

W Polsce można być przez 20 lat właścicielem domu darowanego przez ojca, ale gdy ten odejdzie, prawo może ci kazać zapłacić bratu albo siostrze za tę darowiznę, jakbyś ją dostał wczoraj.

I choć człowiekowi wydaje się, że wszystko ma „uregulowane", że nie zostawi po sobie żadnych „spraw spadkowych", to kodeks cywilny lubi dopisać puentę. Zazwyczaj brzmi ona tak: „Niech się pan nie martwi, panie Tadeuszu. Pańska wola jest szanowana. Ale zgodnie z prawem – nieważna".

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl bcb600a0bd

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 2

Bank od emisji znaków

Obiecałam was wkurzać na kapitalistyczny system, w jakim żyjemy, więc proszę bardzo! Nie raz słyszeliście, że żyjemy w demokratycznym państwie prawa. To powiem: gówno prawda – i to prawda z dużą przewagą gówna. No bo choćby zostając przy sprawie pieniędzy... Dobra! Pobrudzę się. Dotknę tematu. Co zatem powiesz, jeśli tu napiszę, że złotówki którymi na co dzień się posługujemy, są wprowadzane do obrotu nielegalnie – zupełnie tak jak bandyckie fałszywki? No dobra – prawie nielegalnie.

No bo jest tak: w art. 227 Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej, obowiązującej Polaków nieprzerwanie od kwietnia 1997 r., przeczytasz, że Narodowemu Bankowi Polskiemu „przysługuje wyłączne prawo emisji pieniądza". Ale powszechny szacunek dla tej idei, okazany w konstytucyjnym referendum, szybko okazał się niewygodny. Wkurzone „światowe rynki finansowe kapitalizmu" szybko i po cichu zadziałały. Już 29 sierpnia tego samego roku mieliśmy okazję obserwować nerwową reakcję naszych polityków. Rząd Włodzimierza Cimoszewicza, który prezydent Kwaśniewski powołał po dymisji Józefa Oleksego, przeprowadził przez sejm ustawę o Narodowym Banku Polskim, która po cichu (bo bez „zbędnych komentarzy") bezczelnie odbiera Narodowemu Bankowi Polskiemu prawo do emisji pieniądza. Mianowicie art. 4 tej ustawy mówi, że NBP przysługuje „wyłączne prawo emitowania znaków pieniężnych".

No właśnie: bezczelnie i po cichu, bo zwykły człowiek nie może mieć przecież pojęcia, że w języku prawa „znaki pieniężne" są zdefiniowane jako fizyczne desygnaty pieniędzy: banknoty i monety, a nie pieniądze w szerokim znaczeniu. Żaden pieniądz istniejący jedynie jako zapis na bankowym koncie nie jest „znakiem pieniężnym". Mimo oczywistej sprzeczności z Konstytucją RP, nikt do tej pory ani z prawej, ani z lewej politycznej strony nie śmiał tej ustawy zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego – nawet wtedy, gdy TK był jeszcze sądem. Zauważę też, że media naszego „demokratycznego państwa prawa" prawie nie komentowały oczywistej niekonstytucyjności tej ustawy. W ten sposób nasze sejmowe jastrzębie kapitalizmu zadbały o interes finansowych rynków – upolowano konstytucję, a razem z nią nas wszystkich.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Tu muszę głębiej wyjaśnić, dlaczego naszym sympatycznym politykom przypisuję paskudną skłonność do sprzyjania kapitalizmowi i finansowym oprawcom tego świata. Przypomnę zatem, że w poprzednim odcinku (notabene: warto zbierać kolejne wydania naszego pisma, czyż nie?) opowiedziałam, jak i przez kogo tworzone są pieniądze. Oprócz gotówki (banknotów i monet), którą emitują centralne banki takie jak NBP, złotówki powstają jako kredyty, udzielane osobom i firmom wyłącznie przez komercyjne, prawie wyłącznie prywatne i w większości zagraniczne banki. NBP nie udziela kredytów zwykłym firmom i osobom fizycznym, a to dlatego właśnie, że jak wyjaśniam wyżej, nasze polityczne orły ustawowo tego zakazały, umieszczając rzeczony art. 4 w ustawie o NBP.

Ciekawe i szokujące jest to, że system finansowy zezwala komercyjnym prywatnym bankom tworzyć pieniądze z niczego. A dzieje się to tak, że banki tworzą tzw. rezerwę cząstkową, której wielkość w danym banku decyduje o tym, ile pieniędzy może ten bank przeznaczyć na udzielane kredyty. Dla przykładu w Polsce system zobowiązuje banki do posiadania rezerwy cząstkowej pokrywającej jedynie 3,5 proc. wartości udzielonych kredytów. Na świecie jest podobnie. Dlatego, nie popełniając dużego błędu (śladem wielu ekspertów), mogłam użyć sformułowania, że banki tworzą kasę z niczego – *ex nihilo*. Jest przecież tak, że jeśli ktoś bierze dla przykładu 600 tys. zł. kredytu na mieszkanie, to bankowi, aby mógł działać zgodnie z prawem, wystarczy posiadać tylko 21 tys. zł rezerwy cząstkowej. Czyli bank prawie nie ma tej kasy, którą pożycza – wklepując kwotę do komputera, tworzy ją. Innymi słowy,

opowiastki serwowane dzieciom na lekcjach podstaw ekonomii, iż banki pożyczają pieniądze, które wcześniej zdeponowali u nich obywatele i firmy, jest ścierną do kwadratu.

Ale „wróćmy do naszych baranów". Dlaczego, wprowadzając tę ustawę, posunięto się aż do złamania konstytucji? Są tego trzy powody.

Pierwszy: gdyby nie rzeczona ustawa, pieniądze mogłyby być emitowane poprzez udzielanie pożyczek przez NBP, czyli polskie państwo. Ale światowy system kapitalistyczny to dobrze przećwiczony w praktyce gracz – nie powierzy „plebsowi" tak krytycznie ważnej dla kapitalistycznego systemu czynności jak tworzenie pieniędzy, bo (jak mawiał Mayer Amschel Rothschild) „ten, kto emituje i kontroluje pieniądze narodu", nie musi martwić się o to, „kto tworzy jego prawa". Jak wiemy, to właściciele pieniędzy, a nie lud czy społeczeństwo rządzą tym światem.

Drugi: otóż bez złamania konstytucji poprzez przyjęcie ustawy o NBP zawierającej art. 4 niemożliwe by było włączenie Polski do światowego systemu finansowego, czyli globalnego kapitalizmu. Mówią nam, że tak musiało się stać, że Polska musiała pójść tą drogą, że nie było innego wyboru. Może tak było... Ale czy teraz, kiedy stoimy wobec samych pesymistycznych perspektyw, a świat wygląda jednak całkiem inaczej, nie powinniśmy szukać innej drogi?

Trzeci: odsetki to oczywiście zyski. Każdy bank centralny jako agenda państwa mógłby udzielać bezodsetkowych pożyczek obywatelom i firmom produktywnie działającym w danym kraju. Dla systemu kapitalistycznego i światowej finansjery byłoby to krytycznym zagrożeniem – dla nas wręcz przeciwnie. O tym porozmawiamy w następnych odcinkach.

ANNA GRODZKA

Życie W DOBROBYCIE

Na Zachodzie gospodarka trzeszczy, a u nas rośnie, błyszczy i daje zarobić. I nie mówią tego rządowi ministrowie, tylko sam Goldman Sachs. A to już coś, bo światowy bank inwestycyjny nie rozdaje komplementów za darmo. W końcu sam żyje z handlu obligacjami i walutami, więc kiedy chwali złotego, to wie, co robi. I nie z dobroci serca, jeno dlatego, że na tym mówieniu po prostu zarabia. „RPP obniży kolejny raz stopy już w listopadzie, a docelowo stopa referencyjna NBP spadnie do 3,5 proc." – zapowiada główny ekonomista Goldmana na Europę Środkowo-Wschodnią. I dodaje: „Nie widzimy potrzeby podwyżek stóp, przynajmniej w horyzoncie prognozy". Czyli wygląda na to, że kredytobiorcy mogą w końcu odetchnąć, a gospodarka – przyśpieszyć. Goldman twierdzi, że zagraniczni inwestorzy i agencje ratingowe przesadzają z obawami o deficyt budżetowy, bo szybki wzrost PKB i mocny złoty zrobią swoje. A wzrost ten będzie „silny i stabilny". W 2026 r. polska gospodarka ma urosnąć o 3,5–4 proc. Zdaniem banku największym zagrożeniem dla Polski są nie krajowe finanse, ale światowe spowolnienie. Czyli cła, wojny handlowe i ewentualna recesja w USA. Reszta pod kontrolą. Nawet deficyt, który w tym roku ma sięgnąć 7 proc. PKB, według Goldmana nie jest powodem do paniki. „Ryzyko fiskalne w Polsce jest zbyt mocno wycenione. Naszym zdaniem rynek przesadza". „Złoty jest silny i pozostanie stabilny" – twierdzi bank. Ba, Goldman uznał polską walutę za jedną z najpewniejszych w regionie. Pamiętajmy, że Goldman nie działa charytatywnie. Gdy mówi, że złoty jest mocny i stabilny, to pewnie już ma w portfelu parę miliardów w polskich obligacjach gotowych w każdej chwili do szybkiej sprzedaży.

PKB nam rośnie, euro z KPO płyną, inflacja spada, a inwestorzy klaszczą z zachwytu. Tyle że w tym samym czasie, gdy pieniądze z Brukseli powinny rozkręcać gospodarkę i tworzyć miejsca pracy, liczba pracujących w Polsce maleje. Według GUS w ciągu ledwie jednego miesiąca – maja – z rynku pracy zniknęło 81,7 tys. osób. W liczbach względnych to 0,8 proc. mniej, ale w ludziach – całkiem spory tłum, który jeszcze niedawno miał robotę. Najbardziej oberwała sfera pozabudżetowa, czyli ta, która naprawdę wytwarza dobrobyt. Tu liczba pracujących spadła o 130 tys. osób w ciągu roku, co zrekompensował jedynie niewielki wzrost w budżetówce o 11,5 tys. – zapewne efekt nowych etatów w ministerstwach, funduszach i agencjach, które z KPO rozliczają same siebie. Wśród samozatrudnionych sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Ubyło 75,1 tys. jednoosobowych firm, czyli 2,4 proc. wszystkich. Zamknęli działalność, bo koszty przerosły zyski. I tu nikt nikomu nie płaci odprawy – po prostu gasi się światło i oddaje klucze do lokalu. Największe spadki zatrudnienia odnotowano w handlu, gdzie liczba pracujących spadła o 50,4 tys., czyli 2,3 proc. rok do roku, i przemyśle, który stracił 33,4 tys. miejsc pracy – spadek o 1,2 proc. Prawdziwe załamanie dotyczy działalności, które przez lata trzymały się dzięki własnej zaradności. Handel targowiskowy – ubytek ponad 20 proc. pracujących. Sprzedaż tekstyliów i obuwia na straganach – minus 22,8 proc., sprzedaż żywności – minus 20,4 proc. Znikają też drukarnie gazet – spadek o 20,45 proc. i kina, bo działalność związana z projekcją filmów spadła o 19,9 proc. A jeśli ktoś sądzi, że problem dotyczy tylko małych miasteczek, to wystarczy spojrzeć na mapę. W woj. śląskim liczba pracujących spadła o 1,44 proc., w wielkopolskim o 1,35 proc. W powiecie strzelińskim – minus 3,4 proc., w Sopocie i Świdwinie – po 2,9 proc. A w Supraślu na Podlasiu – rekordowy spadek o 65,4 proc. I to wszystko w momencie, gdy Polska dostała dziesiątki miliardów euro z KPO. Te pieniądze miały być kołem zamachowym gospodarki. Tymczasem bezrobocie, które jeszcze niedawno spadało, znów rośnie. Goldman Sachs może więc dalej opowiadać o „polskim cudzie gospodarczym". Cud, który ma oblicze pustego targowiska i zamkniętego warsztatu.

Amazon w Polsce przemówił. Gigant e-handlu, który znany jest z tego, że potrafi zwalniać pracowników szybciej, niż jego roboty pakują paczki, właśnie ogłosił wielką rekrutację nad Wisłą. 8500 nowych etatów. Firma kusi „rekordową" stawką – 39,10 zł brutto za godzinę. Czyli po odliczeniu wszystkiego jakieś 28 zł na rękę. W zamian obiecuje czterodniowy tydzień pracy i bonus 2000 zł „dla najlepszych". Ma to być „szansa dla osób bez doświadczenia, które chcą zdobyć nowe kwalifikacje w logistyce e-commerce". W tłumaczeniu na język polski: przyjdź, nauczymy cię skanować kody kreskowe i biegać z paczkami. Rekrutacja ta nie jest żadną łaską, tylko sezonową akcją przedświąteczną. W Sadach koło Poznania – 2300 miejsc, w Bielanach Wrocławskich – 2500, na Śląsku – 2600. A gdy opadnie kurz po black friday i choinki zgasną, część z tych etatów – jak co roku – rozpłynie się w powietrzu. Bo w tym samym czasie, gdy u nas Amazon chwali się zatrudnianiem, gdzie indziej robi coś odwrotnego. Wywala nawet 30 tys. etatów. Niemal 10 proc. biurowej załogi. Zwalnia wszystkich, których obowiązki może przejąć sztuczna inteligencja. I tu dochodzimy do sedna. Bo skoro Amazon masowo zwalnia w Stanach, Niemczech czy Wielkiej Brytanii, a w Polsce w tym samym czasie zatrudnia tysiące ludzi do fizycznej harówki, to wniosek jest prosty: dla tej korporacji Polska wciąż jest krajem taniej siły roboczej. Kiedyś mówiono, że pracujemy za miskę ryżu. Dziś do tej miski dorzucili prywatną opiekę medyczną i darmowy autobus do fabryki. Postęp. Jutro, gdy AI będzie już potrafiła podnosić kartony, liczyć godziny i podpisywać listy przewozowe, roboty przejmą również te miejsca pracy. A wtedy co?

„Bal się skończył" – mówią eksperci od ochrony zdrowia, bo jak się patrzy na liczby z NFZ, to nawet najwięksi optymiści zaczynają szukać defibrylatora. W kasie funduszu brakuje 14 mld zł, a w przyszłym roku – jak zapowiada Ministerstwo Zdrowia – dziura sięgnie 23 mld. Nie ma więc pieniędzy na nadwykonania, na kontrakty, a niedługo może nie być i na prąd w szpitalach. Szpitale już reagują i jak NFZ im nie płaci, to nie przyjmują pacjentów, przesuwając operacje na przyszły rok. A Ministerstwo Zdrowia, próbując wyglądać na zdecydowane, ogłasza właśnie plan „terapii oszczędnościowej". Ma być zamrożenie podwyżek dla lekarzy, przesunięcie waloryzacji pensji z lipca na styczeń, a nawet ustalenie maksymalnych wynagrodzeń lekarzy. Górny pułap? 36,5 tys. zł miesięcznie, w wyjątkowych przypadkach do 48 tys. zł. Na kontraktach – około 40 tys. zł za etat. A, że etaty lekarz ma dwa lub trzy? Lekarze w mediach płaczą, że „nie chodzi o zarobki, tylko o pacjentów". Oczywiście tych samych pacjentów, za których wystawiają szpitalom i przychodniom faktury po 400 zł za wizytę i 250 zł za teleporadę. Ale gdy tylko minister wspomni o „górnych limitach płac", w środowisku lekarskim natychmiast wybucha panika. Argument jest zawsze ten sam: bo wyjadą. Skończy się jak zwykle – na dosypaniu kasy. Lekarzom pensji się nie obetnie, szpitali się nie zamknie, a reformy i tak nie będzie. Zostaną za to zapowiedzi, zespoły, rady, komunikaty na X. NFZ jest w stanie śmierci klinicznej.

Rys. TOMASZ WIATER

Ale czy ktoś powiedział, że śmierć to coś, na czym nie da się zarobić? „Cmentarz w świetnej lokalizacji, blisko bramy, wypielęgnowany teren, piękna, duża pieczara – nowiusieńka!". To nie reklama nowego osiedla, tylko ogłoszenie o sprzedaży grobu. W Polsce handel miejscami wiecznego spoczynku stał się nową gałęzią rynku nieruchomości. W sieci można dziś znaleźć setki ofert, w których grób kosztuje więcej niż kawalerka w powiatowym mieście. W Krakowie na Cmentarzu Rakowickim odrestaurowany grobowiec niedaleko mogiły Jana Matejki wystawiono za 180 tys. zł. W Nowym Sączu – nowy grób głębinowy na cztery miejsca – 39 tys. W Szczecinie rodzinny grobowiec z czterema miejscami i półką na urny – 52 tys., a w Sochaczewie – skromne miejsce z pomnikiem za 10 tys. zł. Powodów do handlu grobami jest więc wiele – od rodzinnych przetasowań po zwykłą przedsiębiorczość. Ale coraz częściej pojawia się jeszcze jedno możliwe wyjaśnienie – Polacy przestają wierzyć w śmierć. Wszak skoro władza mówi, że żyjemy w złotych czasach, to ludzie zaczynają wierzyć, że nawet śmierć została przesunięta na później. A więc może rzeczywiście Polska to kraj przyszłości?

TTJ

eprasa.pl bcb600a0bd

Lolek i jego Tola

Papież listy pisze, a Biblioteka Narodowa je ukrywa

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jan Paweł II wiedział co robi, gdy pisał w testamencie „notatki osobiste spalić". W następnym zdaniu ostatniej woli doprecyzował: „Proszę, ażeby nad tymi sprawami czuwał Ks. Stanisław, któremu dziękuję za tyloletnią wyrozumiałą współpracę i pomoc". Ks. Stanisław, czyli dzisiejszy kardynał Dziwisz, niedługo po śmierci JP2 wydał prywatne zapiski swojego szefa. Nie dość, że zdradził przyjaciela, to nie przysłużył się prawdzie historycznej. „Notatki osobiste" zawierały zredagowane refleksje papieża dotyczące głównie wiary, religii i innych pierdół. Słowem: nuda. Tymczasem istnieją zapiski dużo smakowitsze, a Dziwisz nie miał jak ich spalić, bo nie należały do niego. To pomógł odkupić i ukrył.

Sejf Makowskiego

Reporterzy TVN24 Szymon Gutowski i Szymon Rzyśko dostąpili łaski przeczytania korespondencji Karola Wojtyły i Anny Teresy Tymienieckiej, polsko-amerykańskiej filozofki, przyjaciółki, a także mentorki oraz krytyczki papieża. Listy te – a jest tego kilkaset – leżały przez 16 lat zamknięte w sejfie Biblioteki Narodowej. Choć kupiono je także za pieniądze polskiego podatnika, to nawet zapalony czytelnik nie mógł się do niedawna dorwać do tej wymiany myśli, czułości i połajanek. Padających głównie ze strony żeńskiej, bo zwłaszcza po objęciu tronu piotrowego JP2 stał się maksymalnie powściągliwy, osobliwie wobec płci przeciwnej. Co wypada księdzu, biskupowi, a nawet przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji kardynałowi, ojcu świętemu nie uchodzi.

Autorzy trzyczęściowej „Tajemnicy korespondencji" dziwią się, że polskie państwo wespół z kościelną fundacją wydali 11 mln zł za ten materiał, a nikt nie miał do niego dostępu. Dyrektor Biblioteki Narodowej nie dopuszczał do listów badaczy ani historyków, nie mówiąc już o zwykłych zjadaczach chleba. Miał mieć w tym spory udział były sekretarz papieża, który – jako szef fundacji – partycypował w kosztach ich zakupu, ale kosztem schowania w sejfie dyrektora. Reporterom TVN24 po wielkich bojach się udało. – Gdybyśmy opublikowali to wcześniej, byłoby trudno zapanować nad emocjami społecznymi – tłumaczy w „Tajemnicy korespondencji" Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej. W momencie zakupu, w 2008 r., trwał jeszcze proces beatyfikacyjny JP2, a ujawnienie tych listów mogłoby rzutować na odbiór jego postaci.

Najmilszy łajdak

Sprawa z listami nie jest nowa. Już w 2016 r. w BBC wyemitowano reportaż Edwarda Stourtona „Sekretne listy Jana Pawła II". – Dokonałem pewnego staromodnego, dziennikarskiego śledztwa i wierzę, że na początku ich znajomości – prawdopodobnie latem 1975 roku – Anna Teresa Tymieniecka powiedziała Karolowi Wojtyle, że go kocha – mówił wówczas autor. Nastawieni na wątek romansowy będą jednak rozczarowani. Reporterzy TVN24 przewertowali obfitą korespondencję Wojtyła–Tymieniecka, ale na ślady gorącego uczucia konsumowanego fizycznie nie trafili. Co prawda tu i ówdzie – ze strony Tymienieckiej – pojawiają się zwroty typu „Najmilszy" czy „Pucia", ale Karol nie odwdzięczał się komplementami. Filozofka jak nikt inny pisała do Wojtyły wprost o tym, co się w jego firmie odwala, i opieprzała go za to, iż nic z tym nie robi. Padają tam tak mocne słowa jak „mafia" czy „łajdactwo", w jednym z listów zapowiada nawet Jego Świątobliwości, że będzie się smażył w piekle. I te wyrzuty są nawet cenniejsze niż historia o miłosnych perypetiach Lolka z Wadowic. Dają bowiem jednoznaczną odpowiedź na pytania, czy i ile wiedział.

Znajomość trwała ponad 30 lat, przechodziła więc różne fazy. Z opowieści Gutowskiego i Rzyśki wyłania się obraz kobiety, której Wojtyła zawdzięczał więcej niż seks czy romantyczny związek. Mianowicie papiestwo.

Choć JP2 na każdym kroku powtarzał, że wszystko, nawet cudowne ocalenie w zamachu, zawdzięczał Matce Boskiej, to okazuje się, że – oprócz rodzonej matki – była w jego życiu kobieta, która naprawdę go stworzyła.

Tymieniecka, korzystając z szerokich znajomości w świecie nauki i polityki (jej drugim mężem był doradca prezydentów USA), w latach 70. XX w. zrobiła z mało znanego kardynała z Polski pretendenta do tronu papieskiego.

Duszka święta

Tymieniecka wraz z mężem zorganizowali polskiemu purpuratowi wykłady na znakomitych uczelniach w Stanach połączone z rautami, na których poznawał oficjeli, sędziów, a nawet kierownictwo CIA. Do amerykańskich gazet słali zaś notki, że Wojtyła to nadzieja Kościoła kat. i jeden z faworytów w najbliższym konklawe. Metropolita krakowski sam w to uwierzył i zaczął prowadzić dyskretną kampanię wyborczą. Tak że w 1978 r. podczas wyborów na papieża chwalił się kard. Wyszyńskiemu, że zna wszystkich kardynałów-elektorów osobiście. Ten prześladowany przez komunę duchowny zjeździł pół świata w poszukiwaniu sojuszników w czasie, gdy inni mogli pomarzyć o paszporcie. Nie był więc Wojtyła „skromnym pracownikiem winnicy pańskiej", ale czynnie pomagał Duchowi Świętemu w dokonaniu właściwego wyboru na konklawe. Innymi słowy był cwanym karierowiczem, a nie mistykiem i filozofem, jak go malują hagiografie.

Anna Teresa Tymieniecka dopięła swego: jej Karol został papieżem. Ale gdy już do tego doszło, ich relacje zaczęły się psuć. Pierwszy afront ze strony Jego Świątobliwości: upierdolił jej tłumaczenie własnej książki „Osoba i czyn". Anna Teresa napisała ją po angielsku właściwie od nowa. Jeszcze jako kardynałowi Wojtyle się podobało. Jako papież powołał komisję złożoną z trzech kolegów z Polski, którzy uznali przekład za gówno. Nie wypadało przecież, żeby kobieta, w dodatku drugi raz zamężna, i to z niekatolikiem, była redaktorem tekstów papieża i jego doradczynią. Tymieniecka zrobiła swoje, dalej są już męskie sprawy w watykańskim gronie.

Och, Karol

Anna Teresa przeżyła wielki zawód swoim przyjacielem i podopiecznym. Myślała że będzie nowoczesnym liderem Kościoła kat., a on wszedł w czerwone buty poprzednich papieży i, jak mu pisała, „trzymał za mordę" tych, którzy chcieli zmian. Szczególnie rozczarowana była jego postawą wobec skandali seksualnych w archidiecezji bostońskiej: 70 księży, ponad tysiąc ofiar, kryjący wszystko kard. Bernard Law. Sprawę tę opisuje słynny film „Spotlight". Mieszkająca wówczas na przedmieściach Bostonu Tymieniecka pisała do Wojtyły listy nieraz nawet co dwa dni, relacjonując postępy ze śledztwa i prosząc o interwencję. Na próżno – podstarzały już wówczas władca Watykanu zapewnił ją tylko o modlitwie, ale dobrych intencji nie przekuł w czyn. Nie można jednak twierdzić że nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje w Ameryce, bo dziękował za wieści swojej wieloletniej przyjaciółce. Tyle z niego miała, że sprzedała za niezłą sumkę tę korespondencję.

Sprytnie zareagował na reportaż należący do episkopatu portal opoka.org. „Widzimy, że Karol Wojtyła i Anna Teresa Tymieniecka byli bliskimi przyjaciółmi: ona pomagała mu nawiązywać kontakty za granicą, potrafiła walnąć go prawdą między oczy, w pewnym momencie się poróżnili (miała papieżowi za złe, że jej nie bronił przed zarzutem, iż źle tłumaczyła jego książkę), a po latach pogodzili. I tyle. Nie wiem, czy o taką wymowę filmu chodziło autorom z TVN, ale, jak to mówią, człowiek strzela…" – czytamy w recenzji „Tajemnicy korespondencji". Całkowicie pomijają istotę rzeczy, czyli zlewanie kwestii pedofilii kleru. No, ale ważne że kochanki nie miał! Szach-mat, antyklerykałowie!

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***To jest wojna cywilizacyjna, wojna kulturowa, ale w swojej najgłębszej istocie to jest wojna duchowa.*** *Zrozumieć, kim jest człowiek, możemy najbardziej poprzez rodzinę. Kobieta może poprzez macierzyństwo najbardziej zrozumieć, co to znaczy być kobietą.* (…) ***Pan Bóg wpisał w biologię kobiety zdolność do przekazywania życia, to jest swoisty talent, który mają kobiety i mogą go realizować.***

Anna Nowogrodzka-Patryarcha, Fundacja Pro-Prawo do Życia, debata „Ochrona Życia w Polsce A.D. 2025", Warszawa, 5 listopada

■ *Współcześnie – również w Polsce – obserwuje się niezdrową fascynację tym, co demoniczne, a świadczy o tym choćby liczba i nakład wydawanych książek o egzorcyzmach.* (…) ***Nadmierna fascynacja ciemną stroną rzeczywistości i świata duchowego może być swego rodzaju semiherezją współczesności. To się wiąże także z kulturą medialną: z filmem, ze sztuką, gdzie – jak to przed 30–40 laty zauważył kardynał Józef Ratzinger, świat artystyczny fascynuje się brzydotą.***

ks. prof. dr hab. Jan Perszon, PCh24.pl, 6 listopada

■ ***Zakładam, że Ursula i inni europejscy kaznodzieje właśnie z tekstów Jana Pawła II wzięli ideę tej europejskiej solidarności, którą nam polewają głowy od rana do wieczora, i nas niewdzięcznych i egoistycznych Polaków tą solidarnością batożą. Jednak co do aplikacji tej idei mam pewne wątpliwości.*** *Czy jeśli mój sąsiad wiesza się w swojej stodole, to to będzie solidarność powiesić się obok niego, czy raczej solidarnością będzie przeciąć powróz, na którym on dynda?* (…) ***A może europejska solidarność miałaby polegać na tym, że nasi żołnierze zamiast pilnować granicy razem z warszawskimi paniusiami, ganialiby po lesie i biednym emigrantom rozdawali kanapki i poili ich herbatą z cytryną?***

Damian Wojciechowski TJ, Opoka.org.pl, 5 listopada

■ *Każdy człowiek, niezależnie od tego, czy poczyna się w sposób etyczny, czy nieetyczny, ma taką samą wartość i prawo do życia.* ***Dotyczy to również dzieci poczętych przy zastosowaniu procedury in vitro, a także poczętych wskutek gwałtu.***

ks. Janusz Chyła, X, 6 listopada

■ *Rodzice dzisiejszych 10-latków są coraz częściej mocno zideologizowani. Chodzi o ideologie lewicowo-liberalne, radical chic.* (…) *W tej sytuacji warto przypominać biblijne wskazówki w sprawie wychowywania dzieci.* ***Z jednej strony czytamy: „Rózga i karcenie udziela mądrości, chłopiec pozostawiony sobie jest wstydem dla matki" (Prz 29,15). Z drugiej strony św. Paweł poucza: „A wy ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu waszych dzieci, lecz wychowujcie je, stosując karcenie i napominanie Pańskie" (Ef 6,4).***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 31 października

■ *Boję się ludzi, a raczej boję się o ludzi, którzy nie mają w sobie bojaźni Bożej, tzn. szacunku wobec Boga i liczenia się z Nim w życiu.* ***Nigdy nie wiem, na co będzie stać takich ludzi.***

ks. Mariusz Wedziuk, X, 4 listopada

■ *Nie jest sztuką nieustannie krytykować Kościół. To religijny populizm, który zawsze znajdzie tych, którzy biją brawo.* ***Cnotą jest cierpieć dla Kościoła, a uświęceniem robić to z winy ludzi Kościoła.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 7 listopada

Wybrał **KLECHA**

Zboczenie z drogi rozumu

Kaja Godek powraca w wielkim stylu

Pewnie nie zastanawialiście się, co u Kai Godek, bo najlepiej byłoby o niej zapomnieć, ale ona staje na głowie, by nie zniknąć na amen z życia publicznego. Trudno się teraz przebić z czymś kontrowersyjnym – politycy i celebryci głównego nurtu zajmują prawie całą przestrzeń, a Godek od pewnego czasu jest postacią marginalną, bo nawet jej rodzime środowisko uważa ją za zbędny balast. Ale szukała, szukała, i wyszukała.

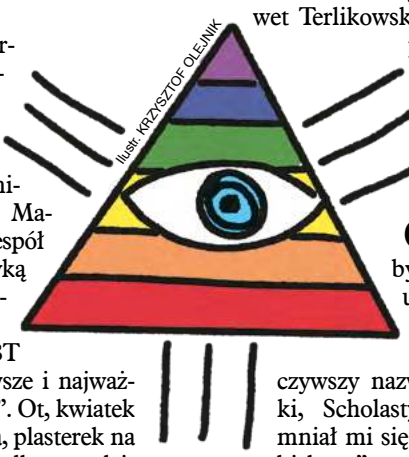

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Słynna antyaborcjonistka została inkwizytorką tropiącą gejowską propagandę pod przykrywką chrześcijańskiego miłosierdzia. Karmelita Mateusz Filipowski wespół z albertynką Scholastyką Iwańską ogłosili, że organizują rekolekcje dla rodziców osób LGBT pod hasłem: „Po pierwsze i najważniejsze: Kocham Cię…". Ot, kwiatek do kościelnego kożucha, plasterek na otwarte złamanie – ale dla prawdziwych katolików i tak za wiele.

Kaja Godek oburzyła się na Facebooku, że „herezja homoseksualna na wzór niemiecki już w polskim Kościele!". Ech, ci Niemcy, nie dość, że plują nam w twarz, to dzieci nam germanią i homoseksualizują!

Godek wspięła się na wyżyny argumentacji, przypisując zakonnikom… pedofilię. Uważa bowiem, że dziecko nie ma orientacji, a kto twierdzi inaczej, ten zbrodniarz.

„Tylko ktoś o skłonnościach pedofilskich widzi dziecko jako istotę seksualną. Czy tak postrzegają dzieci rekolekcjoniści z Gorzędzieja? Osobą, która pochyla się z troską nad tym, w którą stronę (homo czy bi, czy gdzie tam jeszcze) kieruje swój popęd seksualny dziecko, powinna się zająć Policja" – napisała. Gratulujemy Kai Godek dostrzeżenia problemu klerykalnej pedofilii, ale jak zwykle wszystko pomyliła.

Tęczowa flaga na plakacie reklamującym religijny spęd rozjuszyła Kaję jak czerwona płachta byka i nie przyjmowała żadnych argumentów wyprowadzanych z Biblii czy katechizmu, że o rozumie nawet nie wspomnę, bo byłaby to obraza dla tak wybitnej prawicowej działaczki. Nie przekonały jej duchowne autorytety, nie przekonał nawet Terlikowski, z którym kiedyś było jej po drodze. Godek pozostała przy swoim, zaś organizujący rekolekcje zakonnik przebaczył jej imputowanie pedofilii.

Co do tego, czy osoby LGBT powinny brać udział w rekolekcjach, również mam poważne wątpliwości. Zobaczywszy nazwisko współorganizatorki, Scholastyki Iwańskiej, przypomniał mi się reportaż „Zimne dłonie biskupa", opublikowany niedawno w magazynie reporterskim „Gazety Wyborczej". Tekst Marcina Wójcika opisuje kolejną ofiarę zmarłego w sierpniu emerytowanego biskupa pomocniczego krakowskiego Jana Szkodonia, który miał słabość do młodych dziewcząt.

Bohaterka reportażu, nazwana na jego potrzeby Agnieszką, wypłakała się właśnie siostrze Scholastyce pracującej jako terapeutka w fundacji działającej przy episkopacie. – Zadzwoniłam do niej, był kwiecień tego roku. Powiedziałam o swoim bólu, o tym, że molestował mnie biskup Szkodoń. Umówiłyśmy się, że siostra do mnie oddzwoni i ustalimy, co dalej. Nie oddzwoniła, więc sama zadzwoniłam po kilku miesiącach. Przeprosiła, że się nie odezwała, i powiedziała, że oddzwoni do mnie jutro, bo nie może rozmawiać. Ale „jutro" też nie oddzwoniła – relacjonuje kobieta, zaś autorowi reportażu odpisała, że „nie informowała samego bp. Szkodonia i władz kościelnych, np. abp. Marka Jędraszewskiego, o kolejnej kobiecie oskarżającej bp. Szkodonia o molestowanie", ale ogólnie to jest jej przykro.

Z takimi terapeutami to krzywdzicieli nie trzeba. Ani rekolekcji.

MK

eprasa.pl bcb600a0bd

Zabił kino mojej młodości i mojego idola

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak Boguś umierał

O Bogusławie Lindzie nie mogę pisać beznamiętnie. Jak zawodowy ornitolog o orle przednim. Do końca żywota mego Linda zawsze pozostanie dla mnie Bogusiem Lindą. Nie dlatego, że bawiliśmy się kiedyś na jednym weselu, bo on z niejednego wesela jadł. Bo Boguś Linda był idolem mojego zbuntowanego pokolenia, jeszcze w XX w.

Wtedy w czasach studenckich każdy z naszej paczki chciał być jak Witek Długosz z „Przypadku" albo Gryziak z „Gorączki". W czasie późniejszej obowiązkowej służby wojskowej przypominał się jako porucznik Arek z „Krolla". A na zebraniach w PZPR chcieliśmy być jak Klemens Król z „Matki Królów".

Potem w III RP, już w wieku średnim, każdy z nas mówił Franzem Maurerem. Każde wypowiedziane „Pierdolisz moją kobietę" było naszym non possumus. Nieodwracalnym wypowiedzeniem totalnej wojny z podmiotem pierdolącym.

Prawda czasu

Oglądałem „Zamach na papieża". Ostatni film Władysława Pasikowskiego reklamowany jako ten z ostatnią główną filmową rolą Bogusia Lindy. Wyświetlano go w warszawskiej Galerii Mokotów. W kinie reklamującym się jako cinema. Przed wejściem do kina zastałem rój knajp przeróżnych. W nich stada małolatów i modelek słowiańskiej urody. Wszyscy siorbali modną maczę, chłonęli dietetyczne czikenburgery. Spijali sukcesy Polski, na który moje pokolenie zapierdolu pracowało po szesnaście godzin na dobę. Za to w tym cinema pusto było jak w kościele na warszawskich Kabatach.

W sali projekcyjnej zgromadziło się 11 osób w wieku 60 plus. Choć bilety były w promocyjnej cenie 19,90 zł. Wszyscy przyszli zobaczyć ostatnią rolę Bogusia. Plus jedna pani, też w tym wieku, która chciała zobaczyć papieża. Wyjęła od razu różaniec i modliła się, aby ten kinowy papież ten zamach też jakoś przeżył. Nic dziwnego, że poczułem się wtedy jak bohaterowie filmu Bogdanovicha podczas ich ostatniego sensu filmowego.

Władysław Pasikowski w miesięczniku „Kino" ujawnił, że w jego „Zamachu na papieża" jest pół na pół: pół prawdy i pół fikcji. Fikcja okazuje się ważniejsza, ale prawda ciekawsza. „Jednak tę drugą pozbawioną zmyślenia odrzuciłaby znaczna część widzów. A robię filmy dla nich, nie jak moi koledzy i koleżanki dla samych siebie" – reklamował się Pasikowski.

Prawda ekranu

Jest w filmie „Zamach na papieża" rok 1981. Były as wywiadu i światowej klasy snajper zwany Brunem dożywa na emeryturze i pracy społecznej w związku wędkarskim. Idzie na rutynowe badania lekarskie i wali go niepodważalna diagnoza. Ma zajebistego raka i dwa miesiące życia jeszcze.

W tym czasie na Kremlu gensek Breżniew rzuca myśl, że warto zająć się rakiem toczącym komunizm, czyli papieżem-Polakiem. Myśl łapie kagiebowszczyk Jurij Andropow. Mobilizuje czekistów z Bułgarii, a ci znajdują egzekutora Turka. Ale robota ma być perfekt bez pozostawionych śladów. Zatem zaraz po zamachu Turka ma odstrzelić Polak. Skoro pod Wiedniem wycisk od Polaków dostali, to i w Watykanie musi się udać. Polaka nie trzeba będzie potem odstrzeliwać, bo rak zrobi swoje. A potem niczego nie wygada, nawet torturowany prądem. Nie zechce też premii, awansu czy odznaczenia resortowego.

Oczywiście wychowany na polskim kinie moralnego niepokoju Bruno ma rozterki etyczne. Ale polscy czekiści, zwłaszcza ci młodszego pokolenia, są bezduszni i zdehumanizowani. Łapią Bruna za przysłowiowe jaja. Wiedzą, że ma w Hamburgu córkę. Żydówkę, bo choć Bruno prawdziwym Polakiem jest i niejednego Żyda na wojnie izraelsko-arabskiej odstrzelił, to Żydówkę za żonę sobie wziął i z nią Żydówkę spłodził. Normalka. Każdy prawdziwy Polak ma jakiegoś Żyda w rodzie, a Żydówka Polaka na bank.

O tym, że Bruno ma w Hamburgu córkę, Bruno wie. Nie wiedział, że córka jest w ciąży z Nigeryjczykiem, i to czarnoskórym. To mu polscy czekiści ujawnili i zaszantażowali go. Albo Bruno będzie posłuszny, albo zaszlachtują mu nienarodzone wnuki, zupełnie niewinnego zięcia też, a córkę oddadzą w łapy niemieckiego przemysłu burdelowego silnie reprezentowanego w tymże Hamburgu. Daleko nie musieliby jej wozić.

Ci polscy czekiści młodszej generacji zachowują się niehonorowo, gorzej nawet niż ruscy. Nie tylko szantażują kolegę z korpo, co niezgodne jest z kodeksem etycznym resortu, ale i pierdolą jego kobietę! Tak dalej być nie może – wzdychała cała widownia w warszawskim cinema, czekając, kiedy Bruno wreszcie przemieni się, jak Babinicz w Kmicica, w Franza Maurera, w naszego idola twardziela.

Przemianę przyśpiesza gensek Breżniew, którego rusza sumienie i wodzowskie wyrachowanie. Nakazuje wstrzymać zamach na papieża-Polaka, bo on też przecież gensekiem jest. A wszyscy gensecy to jedna rodzina. I dzięki tej korporacyjnej solidarności i etyki genseka Breżniewa akcja w filmie wreszcie nabiera tempa i zaskakujących zwrotów akcji.

Ostatni film dziadersowski

Do przełomowej decyzji Breżniewa akcja filmu Pasikowskiego ciągnęła się jak deficytowa w 1981 r. guma do majtek. Bruno hamletyzował, patrzył w prawo, patrzył w lewo, czasem krwią splunął. Czekiści straszyli, ale kobiety mu jeszcze nie pierdolili. Nuda, nuda, nuda.

Bruno zaszył się w prowincjonalnym miasteczku i ponad filmową godzinę trenował strzelanie nowym karabinem jak Edward Fox w pierwszym filmie „Dzień Szakala". W międzyczasie okazało się, że w miasteczku roi się od pedofilów, przemocy domowej, skorumpowanej władzy lokalnej i milicji. Wszyscy piją i kradną. Rządzą złodzieje i kurwy moralne. Płoną krzyże ze wstydu i stodoły od podpaleń. Ot częsty, wręcz normalny obraz polskiej prowincji codziennie malowany w internecie.

Nic dziwnego, że zgromadzona w Galerii Mokotów młodzież wolała maczę od ostatniego polskiego kinowego maczo. Choć Boguś grał jak za dawnych lat. Ach, te jego powłóczyste spojrzenia! Ten męski tembr głosu! To mistyczne plucie krwią! To Boguś, przepięknie umierając na ekranie, ratował film Pasikowskiemu. Bo ten „Zamach na papieża" jest wspaniałym reprezentantem dziaderskiego nurtu polskiego kina akcji. Filmu, gdzie akcja rozgrywa się w prowincjonalnym miasteczku, gdzie warszawski Plac Teatralny gra Watykan. Bo tak jest w produkcji taniej. Filmu dziejącego się w XX w. Opowiadającego o jakimś Breżniewie, jakimś papieżu, dawnej Polsce. O czasach i osobach prehistorycznych dla młodego pokolenia Polaków jak epoka faraonów. Wiszących kalafiorem konsumentom maczy i sushi. Filmu, którego

największą atrakcją są polscy znakomici aktorzy średniego pokolenia i starsi. Nie specjalne efekty komputerowe, lecz żywy człowiek zabijany przez scenariuszową sztuczną inteligencję.

Boguś Linda debiutował filmowo w roli halabardnika w patriotycznym serialu „Czarne chmury". Umarł jako prawdziwy aktor w roli patriotycznego snajpera w „Zamachu na papieża". Kręcąc ten film, reżyser Pasikowski zabił mi kino mojej młodości i mojego aktorskiego idola.

Pokłosie

Nie zdradzę finału filmu. Trupów, które ścielą się gęsto. Zdradzę jedynie, że ze wszystkich czekistów z byłego Układu Warszawskiego tylko Bułgarzy w tym filmie utrzymali honor i poziom moralny. Na Bułgarze czekiście możesz polegać jak na Zawiszy.

Gensek Breżniew i jego Andropow okazali się w filmie zwyczajnymi miękiszonami. Podobnie jak młoda generacja polskich czekistów. Nic dziwnego, że ZSRR upadł też w realu.

Filmowa córka Bruna przeżyła w „Zamachu na papieża". Bo polscy czekiści okazali się równie skuteczni jak ich starsi koledzy zaangażowani w realu do akcji „Truteń". Mieli oni naprawdę zabić prawdziwego Adama Michnika przebywającego w Hamburgu. Ale wzięli zaliczkę i poszli do dzielnicy czerwonych latarni. Balowali, balowali. A Michnik z burdeli nie skorzystał, tylko pojechał do paryskiej „Kultury". I dalej żyje w realu.

Córka Bruna w filmie urodziła mu pogrobowca, ślicznego czarnego Żyda. Wypisz wymaluj idealnego przyszłego filmowego mściciela. Ale kina już nowej generacji.

PIOTR GADZINOWSKI

Magiczne słowo „wypierdalać"

Dziwaczna hagiografia Donalda Tuska

Przeczytałam – no dobra, przeczytałam uszami, bo oczu szkoda – przebój tej jesieni: książkę Kamila Dziubki zatytułowaną „Kierownik". Z podtytułem: „Kulisy władzy Donalda Tuska".

Drobna złośliwość na wstępie, adresowana do wszystkich wyznawców Tuska, którzy wierzą, że jest on taki jedyny i wyjątkowy: nawet ksywę ma wtórną. „Kierownik" – skrót od „kierownik zakładu pracy" – to tytuł, jakim podwładni obdarzali Leszka Millera. Było w tym oczywiście trochę drwiny: że oto szef rządu jest takim control freakiem, że zajmuje się zarządzaniem rządem, nie państwem – co zresztą pasuje do obu tych polityków. Ale w przypadku Millera i SLD z początku millenium skojarzenie z pojęciem pochodzącym z kodeksu pracy z 1974 r. wydawało się naturalne. W zasadzie czemu dumny budowniczy kapitalizmu, jakim jest Donald Tusk, ma nosić peerelowską ksywę – nie wiadomo. Widać platformersi nie umieli wymyślić nic nowego.

Wracając wszakże do książki: składa się z wypowiedzi wyłącznie anonimowych osób – opisanych jako „poseł KO", „minister", „ważny polityk koalicji", „doświadczony parlamentarzysta", „były członek władz Platformy Obywatelskiej". Nikt nie występuje pod nazwiskiem – co wydaje się zabiegiem nieco naznaczonym tchórzliwością – i wygląda na to, że wśród rozmówców Dziubki nie ma nikogo spoza obecnego układu rządzącego. Może dlatego, że pisowcy i konfiarze zapewne chętnie mówiliby to, co mają do powiedzenia o Tusku z otwartą przyłbicą, co zniszczyłoby autorowi koncepcję książki. Przy czym

cały ten koncept anonimowości – który zapewne miał gwarantować szczerość – niekoniecznie się sprawdza, bo strach przed Tuskiem wydaje się silniejszy niż zaufanie do tajemnicy dziennikarskiej.

Toteż wielkich sekretów rozmówcy Dziubki nie zdradzają – choć to, co można wyczytać między wierszami, bynajmniej nie przedstawia „Kierownika" w pozytywnym świetle.

Pycha i arogancja Tuska objawiają się w sprawach istotnych – to wszyscy widzimy w telewizji – ale też w drobiazgach. Na przykład w tym, że gdy wrócił do partii w 2023 r., to z piątego piętra w Czytelniku, gdzie mieści się gabinet przewodniczącego, wyeksmitował wszystkich z wyjątkiem partyjnego genseka: „żeby mu tam dupy nie zawracać"…

Interesującą cechą premiera wydaje się bezcelowe okrucieństwo, które każe mu upokarzać ludzi bez dania racji – jak wtedy, kiedy w obecności szefowej Komisji Europejskiej zaczął odpytywać ministrów z wiedzy historycznej: kiedy była bitwa pod Cedynią, a kiedy pod Płowcami. Zresztą jeden z rozmówców Dziubki mówi to wprost: Tusk „czuje się dobrze, kiedy może sobie zażartować, z każdego trochę podrzeć łacha, albo wręcz poniżać na oczach innych, on to uwielbia"… Inny „doświadczony parlamentarzysta" opowiada o relacji szefa rządu z ministrem finansów, przywołując scenę z „Wilka z Wall Street", kiedy maklerzy rzucają karłami do tarczy: „niektórzy się śmieją, że Domański dobrze się czuje z tym, że Donald nim rzuca o ścianę"… Te historie są opowiadane lekko, ot, takie dykteryjki, ale czerpanie przyjemności z zadawania bólu innym ma nazwę – i jest to sadyzm. A swoją drogą fakt, że rozmówcy Dziubki, bądź co bądź członkowie szeroko pojętej elity rządzącej Polską, nie widzą w tych zapędach „Kierownika" powodu do niepokoju – mówi o nich nie mniej niż ich opowieści o samym Tusku.

Inne rzeczy, które można wyczytać z dziubkowej książki, też nie napawają optymizmem. Na przykład taka oto interpretacja przegranej Trzaskowskiego autorstwa „polityka KO": „Ludzie nie chcą na kluczowych stanowiskach człowieka wykształconego z książką pod pachą, wolą bandytę, bo im się wydaje, że ten załatwi ich problemy". Jeśli partia po przegranych wyborach dochodzi do wniosku, że to wina wyborców, którzy nie dorośli do jej wielkości – to, obawiam się, nie ma nadziei na poprawę.

Choć – co trzeba uczciwie przyznać – niektórzy wykazują niejaką trzeźwość umysłu. Ujęła mnie opowieść „parlamentarzysty koalicji" (jak zgaduję, nie z PO) o tym, że po przegranej Trzaskowskiego „jakaś baba z Platformy napisała: »Stało się niemożliwe«. Rozumie pan: trzy razy dostawali w dupę od PiS-u w wyborach prezydenckich i za czwartym razem stało się dokładnie to samo. A ta: niemożliwe"…

I na koniec: interesująca – choć w sumie niezaskakująca – jest informacja o szczególnej więzi Tuska z Włodzimierzem Czarzastym. Jak opowiada „poseł Lewicy": przełamanie lodów nastąpiło po tym, jak Czarzasty poradził sobie z wewnętrzną opozycją, zawieszając niechętnych mu członków władz partii. Szef SLD wyjaśnił później „Kierownikowi", że to on go „do tego zainspirował" swoją technologią przejęcia Platformy: „Wszedłeś na salę, gdzie w pierwszym rzędzie siedział facet, który rok wcześniej wziął 10 milionów głosów i on powinien wziąć tę partię z poparciem połowy narodu, a ty po prostu wszedłeś i powiedziałeś mu, żeby wypierdalał"…

Generalnie trudno oprzeć się wrażeniu, że większości bohaterów książki bardzo imponuje to, jak pięknie Tusk każe innym wypierdalać. Przy tym poziomie autorefleksji władzy jest nieomal pewne, że za dwa lata lud każe wypierdalać Tuskowi i jego kompanom.

Może wtedy nabiorą oni szacunku do ludu…

AWŁ

eprasa.pl bcb600a0bd

Posiłki ze Wschodu

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Olimpijskie szanse polskiej reprezentacji

Zimowe igrzyska olimpijskie Mediolan-Cortina 2026 już za niecałe trzy miesiące, ale jakoś nie powodują u nas gorączki. Cóż, nie mamy skoczków na miarę Adama Małysza czy Kamila Stocha ani biegaczek takich jak Justyna Kowalczyk. Tak naprawdę nie możemy liczyć na grad medali, jak zdarzyło się w Soczi, skąd Polacy wrócili z czterema złotymi medalami, jednym srebrnym i jednym brązowym. Jeśli będzie jakiś jeden medal, jak podczas poprzednich igrzysk, już powinniśmy być zadowoleni.

Zimowe igrzyska olimpijskie, które są tuż za rogiem, będą się różniły od innych pod wieloma względami. Jak wiadomo, twórca nowożytnych igrzysk baron Pierre de Coubertin wymyślił sobie, że ich organizatorami – podobnie jak w starożytnej Grecji – będą miasta, a nie państwa, bo w tamtych czasach państwami były właśnie miasta. Oczywiście wraz z rozrastaniem się imprezy, i co się z tym wiąże – coraz większymi kosztami ich organizacji, ciężar był nie do udźwignięcia przez nawet najbogatsze aglomeracje. O prawo goszczenia sportowców zabiegały już tylko potęgi gospodarczo-polityczne, a nie żadne miasta. Organizowanie igrzysk przez miasta stało się kolejną fikcją, podobnie jak amatorstwo sportowców.

Żaden sportowiec uczestniczący w igrzyskach nie jest amatorem, każdy utrzymywany jest przez państwo i sponsorów. Z naprawdę nielicznymi wyjątkami za sukces otrzymuje się w ojczyźnie solidną nagrodę. W Polsce nie są to wyłącznie premie finansowe, także rzeczowe, np. mieszkanie, a medaliści mogą po zakończeniu kariery liczyć na państwową emeryturę.

Mediolan, Cortina i spółka

We Włoszech mamy kolejny krok w przełamywaniu historycznych zaszłości. Zimowe igrzyska organizują cztery ośrodki, co znalazło wyraz w samej nazwie imprezy, w której uwzględniono dwa z nich. Mamy więc zimowe igrzyska olimpijskie Mediolan-Cortina 2026.

Choć mówimy o dwóch lokalizacjach, tak naprawdę impreza rozsiana będzie między ośmioma włoskimi miastami, a teren igrzysk obejmie ponad 22 tys. km kw., co jest rekordem w historii i nieprawdopodobną komplikacją dla sportowców, kibiców, a także ekip telewizyjnych relacjonujących zawody. Miejsca rozgrywek podzielono na cztery – jak to się oficjalnie nazywa – klastry: Mediolan, Cortina d'Ampezzo, Valtellina i Val di Fiemme. Każdy ze wspomnianych klastrów musi mieć infrastrukturę niezależną od innych. W praktyce oznacza to, że poszczególne reprezentacje narodowe wyślą do Włoch cztery samodzielne ekipy ze swoimi działaczami, sztabem medycznym, fizjoterapeutami i wszystkim, co jest niezbędne sportowcom.

Nowością, ale o tym wiadomo od dawna, będzie włączenie do programu konkurencji skialpinizmu, czyli połączenia biegu pod górkę z nartami ze zjazdem na innych deskach. Ze skialpnizmem, który uprawia coraz więcej ludzi na świecie w formie turystycznej lub ekstremalnej, ma to średnio coś wspólnego, ale trudno w warunkach sportowej rywalizacji wymyślić coś nowego. Niedawno MKOl poinformował, że w programie utrzymana zostanie kombinacja norweska (skoki i bieg), której groziło wykluczenie, ale tylko w konkurencji męskiej. Będzie to więc jedyna dyscyplina zimowej olimpiady niedostępna dla pań.

Myślicie, że na tym kończą się niespodzianki? Nie! Największą będzie ceremonia otwarcia igrzysk. A właściwie ceremonie, bo takie odbędą się we wszystkich czterech ośrodkach. Szczegóły – jak zawsze – trzymane są w tajemnicy do ostatniej chwili, ale wiadomo, że znicze zapłoną i w Mediolanie i w Cortinie. Zamknięcie odbędzie się jeszcze gdzie indziej – w Weronie.

Jedyny pewniak?

Zostawmy już sprawy organizacyjne, choć gospodarze zmagać się będą z nimi do ostatniej chwili, bo wiele obiektów, co stało się już tradycją podczas wielkich imprez, nie jest jeszcze gotowych i trwają gorączkowe prace nad ich ukończeniem. Nie wspominajmy o pogodzie, tak istotnej dla sportów nierozgrywanych pod dachem. Pomówmy o naszych szansach. Te są niewielkie i nadchodzą ze Wschodu.

Jedynym polskim sportowcem, o którym można z pewnością mówić, że ma szanse włączyć się do walki o medale, a on sam cicho mówi nawet o medalu złotym, jest Rosjanin Władimir Semirunnij, brązowy medalista mistrzostw świata w łyżwiarstwie szybkim juniorów w barwach Rosji, który dopiero w sierpniu tego roku otrzymał polski paszport.

Znakomity panczenista, którego już zaczęto u nas nazywać Władkiem, uciekł z ojczyzny dwa lata temu, wprost mówiąc o tym, że nie może się pogodzić z polityką Kremla i z pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę. Zamieszkał w Tomaszowie Mazowieckim, tuż obok jedynego (zakopiański wciąż nie jest ukończony) krytego toru do jazdy szybkiej na lodzie. Na szczęście działaczom udało się jakoś załatwić utrzymanie zawodnika, tak żeby nie musiał chodzić do pracy, bo uprawiania sportu i zarobkowania we współczesnym sporcie nie da się pogodzić.

Załatwianie formalności trwało długo, delikwent musiał być sumiennie sprawdzany przez służby, ale nawet przed otrzymaniem paszportu mógł oficjalnie reprezentować Polskę w mistrzostwach świata (nie mógłby jednak podczas igrzysk), co zaowocowało srebrnym medalem w biegu na 10 tys. m i brązowym na 5 tys. m. Kurczę, mówienie o medalu olimpijskim „Władka" nie jest czczą mrzonką.

Między hamburgerem a medalem

Jakoś tak się składa, że sportowcy, którzy przyjechali do nas ze Wschodu, są bardzo sympatyczni i grzeczni. Nie inaczej jest z „Władkiem". 24-letni młodzieniec znakomicie mówi już po polsku, oczywiście z charakterystycznym akcentem, który nazwalibyśmy lwowskim. Na nic nie narzeka, udziela wywiadów, w jednym z nich powiedział, że wiadomość o uzyskaniu przez niego polskiego obywatelstwa bardzo ucieszyła jego matkę, która została w Rosji.

Niewykluczone, że „Władek" będzie ratował honor polskiego sportu podczas igrzysk Mediolan-Cortina, tak jak ratowała go podczas lekkoatletycznych mistrzostw świata inna przybyszka zza wschodniej granicy, jedyna nasza medalistka, Maria Żodzik; podobnie jak Semirunnij urocza osoba, niewładająca jednak jeszcze tak dobrze polszczyzną jak on. Jej historia nie była prosta. Wicemistrzyni Białorusi (2021 r.) po przybyciu do Polski nie mogła się odnaleźć. Pracowała w McDonald's, zapominała o sportowych ambicjach. Nagle podczas smażenia hamburgera zapytała samą siebie: „Co ja tutaj robię? Przecież jestem dobrą lekkoatletką".

Miała szczęście spotkać trenera Pawła Wyszyńskiego. Razem stanowią najmłodszy duet zawodniczo-trenerski w polskim sporcie: on ma 27 lat, ona – 23. Tylko oni przywieźli z Tokio medal mistrzostw świata – srebrny w skoku wzwyż. Posłuchajcie wywiadów z Marią, nie jest ich wiele, bo ona nie lubi wypowiadać się publicznie, ale już to powinno was przekonać, jak miła to dziewczyna i jak dobrze ma poukładane w głowie.

Nie będę nawet wspominać o szachistce Alinie Kaszlińskiej, która od lat mieszkała w Warszawie, tu ma męża, ale głośno zrobiło się o niej w 2022 r. Gdy jej kraj pochodzenia bezpośrednio zaatakował Ukrainę, Kaszlińska zrezygnowała z reprezentowania Rosji. W tym roku z drużyną Polski zdobyła mistrzostwo Europy.

Nieperspektywiczna

Wracamy do sportów zimowych. Jekaterina Kurakowa nie należy do świeżej emigracji Rosjan. Do Polski przyjechała w 2017 r., gdy skreślono ją z rosyjskiej kadry jako zawodniczkę nieperspektywiczną. W Toruniu znalazła warunki do treningów, opiekę, a po uzyskaniu polskiego obywatelstwa mogła reprezentować nasz kraj w łyżwiarstwie figurowym. Pojechała na igrzyska olimpijskie do Pekinu i był to powrót polskiej reprezentantki na zawody tej rangi po 12 latach. Zawaliła program obowiązkowy, ale brawurowo wykonanym programem dowolnym podbiła serca kibiców, bo Kasi po prostu nie da się nie lubić. Teraz przygotowuje się do igrzysk Mediolan-Cortina i wie, że będą to prawdopodobnie ostatnie jej zawody tej rangi. Na medal trudno jej liczyć, ale chce pokazać, że może jeszcze coś zdziałać, zanim zajmie się karierą trenerską, bo studiuje ten kierunek.

Kurakowa wygląda dziecinnie i czasem tak się zachowuje, ale ci, którzy ją znają, twierdzą, że jest to twardo stąpająca po ziemi kobieta. Konsekwentnie realizuje wytyczone przez siebie cele.

Kasia nigdy długo nie mieszkała w Polsce. Nawet będąc zawodniczką toruńskiego klubu i seryjnie zdobywając mistrzostwo naszego kraju, stale wyjeżdżała nie tylko na zawody, także do zagranicznych trenerów, u których doskonaliła swoje skoki i piruety. Z tego, co wiem, teraz zamieszkała w Paryżu. Chciała być z rodzicami, a Francja, w odróżnieniu od Polski, nie odmawia przyznawania wiz obywatelom Rosji.

Jeśli chodzi o posiłki zza wschodniej granicy w naszym łyżwiarstwie figurowym sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana w przypadku naszej pary sportowej Julia Szczetinina, Michał Woźniak. Encyklopedie sportowe określają Julię jako zawodniczkę rosyjsko-szwajcarską reprezentującą Polskę.

Łyżwiarstwo figurowe to ciągłe wyjazdy na treningi i zawody. A jeśli startuje się w parach, to zmienia się partnerów. Partnerzy pochodzą z różnych krajów, ale w zawodach rangi mistrzowskiej reprezentować mogą jeden. Stąd Julia Szczetinina określana jako zawodniczka rosyjsko-szwajcarska ma w dorobku trzy tytuły mistrzyni Węgier, gdy stanowiła parę z Márkiem Magyarem oraz dwa tytuły mistrzyni Szwajcarii – z Noachem Scherer i Michaiłem Akułowem.

W niedawnych zawodach o Grand Prix Kanady Szczetinina i Woźniak zajęli ósme miejsce. To mało? Nie jesteśmy potęgą w sporcie, a w sportach zimowych zwłaszcza, żeby wybrzydzać. W łyżwiarstwie figurowym ósme miejsce nie daje medalu olimpijskiego, ale jest bardzo dobre.

Następców nie widać

Co my sami z siebie bez pomocy ze Wschodu możemy zaoferować podczas zimowych igrzysk olimpijskich? Minęły te czasy, gdy z największą uwagą śledziliśmy konkursy na skoczni narciarskiej. Powiedzmy wprost: kadra naszych skoczków się zestarzała, a następców nie widać. Co prawda 18-letni Kacper Tomasiak wygrał rywalizację w letnim Pucharze Kontynentalnym, ale to może mu nie dać nawet przepustki do reprezentacji Polski, o medalu olimpijskim nie mówiąc. Nie przejmuj się, Kacper, ani nie podłamuj, po tych igrzyskach będą następne i jeszcze następne.

Teraz nadzieje wiążemy z łyżwiarstwem szybkim, nie tylko z Władimirem Semirunnijem. Na krótkim torze Natalia Maliszewska, mistrzyni Europy i srebrna medalistka mistrzostw świata, po przerwie spowodowanej dyskwalifikacją przez komisję antydopingową wróciła do treningów i do zawodów. Konieczna uwaga: Maliszewska zdyskwalifikowana została nie za stosowanie dopingu, ale za własną głupotę i niefrasobliwość. Trzykrotnie nie była pod adresem zgłoszonym komisji antydopingowej, a to karane jest tak jak przyjęcie dopingu.

Natalia Maliszewska z koleżankami mogą coś zwojować w sztafecie. Short track to trochę zwariowany sport, gdzie po wyścigu sędziowie przeglądają zapis wideo i mogą kogoś wykluczyć za błąd niewidoczny podczas oglądania zawodów na żywo. Czyjś pech może być korzyścią dla innych, co nie znaczy, że chcę nasze panie pozbawiać szans bez sędziowskiej ingerencji.

Dobre miejsce może zająć w snowboardowym slalomie gigancie Aleksandra Król-Walas. Dwukrotna brązowa medalistka mistrzostw świata i trzykrotna olimpijka po przerwie w 2023 r., podczas której urodziła córeczkę, wróciła do treningów oraz zawodów, tryskając energią. Ma – jak sama mówi – podwójną motywację. To ostatnie igrzyska pani Aleksandry.

I to wszystko. Nasza – spora jak zawsze – ekipa może liczyć na miejsca w drugiej i trzeciej dziesiątce, co przyjmiemy jako sukces. Innego wyboru nie mamy.

Swoją drogą, ciekawy jestem, jaki byłby wynik zawodów w zimowych sportach olimpijskich, gdyby z jednej strony stanęła reprezentacja rdzennych Polaków, a z drugiej strony – drużyna złożona z naszych posiłków zza wschodniej granicy.

Wynik – moim zdaniem – byłby niepewny, bo w sporcie nie ma niczego pewnego.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 12.11.2025 r.

eprasa.pl bcb600a0bd

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Mareczek nie mógł spać w nocy, tak był podekscytowany tym, że nazajutrz ma dostać pierwszą gwiazdkę zuchową. Zuch ochoczy – sami musicie przyznać, że brzmi lepiej niż zwykły zuch. Potem zuch sprawny, a jeszcze potem gospodarny… Kariera stała przed Mareczkiem otworem. I przed jego koleżankami i kolegami. Im też pewnie trudno było zasnąć.

• • •

– Tusk przyznał zuchom pierwszą gwiazdkę – poinformował prezydenta Nawrockiego szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Cenckiewicz. Miał okulary i wydawało mu się, że ma dostęp do informacji niejawnych.

– A co to, Tusk jest jakimś zuchmistrzem? – zapytał Andruszkiewicz, który charakteryzował się słabą artykulacją i był zastępcą szefa Kancelarii Prezydenta Rzeczpospolitej. – Jakimś zuchmajstrem?

– Tusk kieruje rządem bezprawia – odrzekł Bogucki, który znał odpowiedzi na wszystkie pytania, miał okulary i był szefem Kancelarii Prezydenta Rzeczpospolitej.

– I jest bezczelny – dodał Leśkiewicz, który był rzecznikiem prasowym prezydenta. Nie miał okularów, bo dziś założył szkła kontaktowe.

Tego ranka, gdy Mareczek i inne zuchy miały dostać pierwszą zuchową gwiazdkę, prezydent poinformował ich, że żadnej gwiazdki nie dostaną.

• • •

Kiedy Mareczek się o tym dowiedział, nie płakał, bo zuch, nawet bez gwiazdki, nie płacze.

• • •

Premier skomentował decyzję prezydenta w filmiku na X. Udawał zdziwienie i nie ukrywał wkurwienia.

• • •

Prezydent skomentował filmik premiera w swoim filmiku na X. Powiedział, że premier nie jest jakimś zuchmistrzem czy zuchmajstrem. Nawrocki skłamał też, że Tusk jest bezczelny, kieruje rządem bezprawia i będzie się smażył w piekle. Nawrocki zapowiedział, że będzie przyznawał gwiazdki wtedy, gdy będzie chciał, i tym zuchom, którzy na to zasłużą. A tak w ogóle to zuchy powinny prezydenta poprosić.

• • •

Mareczek ma tatę, który głosował na Nawrockiego. I mamę, która nie poszła na wybory. Marysia, siostra Mareczka, za pięć lat dorośnie i będzie mogła głosować. Już dziś wie, że nie zagłosuje na Nawrockiego.

Mareczek ma koleżanki i kolegów, którzy mają rodziców, rodzeństwo, krewnych i powinowatych.

• • •

Nawrocki ma chujowych urzędników, a najbardziej chujowy jest Cenckiewicz, który nigdy nie był i już nie będzie zuchem ochoczym, sprawnym ani gospodarnym. A poświadczenia dostępu do informacji niejawnych jak nie miał, tak nie ma.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA ogląda telewizję Republika. **JOANNA SENYSZYN** stare rodzinne fotografie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wołk-Łaniewska: – 11 listopada leje się z telewizji i gazet, wszyscy żyją niepodległością ojczyzny, a ty prywatę rodzinną uprawiasz?

Senyszyn: – 11 listopada to taki 22 lipca trzeciej RP. Data umowna, wybrana pod dyktando piłsudczyków, choć były też i inne propozycje. Lewica chciała czcić 7 listopada – utworzenie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej Ignacego Daszyńskiego, konserwatyści i monarchiści – 7 października, na pamiątkę ogłoszenia niepodległego Królestwa Polskiego przez Radę Regencyjną. Narodowcy Dmowskiego nie mieli żadnej daty pasującej im ideologicznie ani godnej podczepienia, bo z Piłsudskim darli koty, lewicę zaciekle zwalczali, a Rady Regencyjnej nie uznawali. Ostatecznie wygrał 11 listopada. Nawet dobrze, bo to także dzień podpisania w Compiegne rozejmu kończącego I wojnę światową, co symbolicznie zbliżyło Polskę do zwycięskiej Europy.

– Bardzo symbolicznie, zważywszy na kształt ustrojowy Polski międzywojennej…

– A ja mam w listopadzie dużo prawdziwych, nieumownych rocznic: 13 brałam ślub, 15 były urodziny mamy, a 30, równo 50 lat temu, poznałam mojego męża. Również w listopadzie, choć nie pamiętam dokładnej daty, wzięłam ze schroniska mojego najukochańszego psa Maksa. Zostały mi po nich tylko wspomnienia i fotografie. Pamiętasz, co pisała Pawlikowska-Jasnorzewska: „Gdy się miało szczęście, które się nie trafia: czyjeś ciało i ziemię całą, a zostanie tylko fotografia, to – to jest bardzo mało”…

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Nigdy nie byłam wielbicielką poezji kobiecej. I nie odpowiem ci innym cytatem à propos – „zostaną po nich buty i telefon głuchy” – bo za księżą poezją też nie przepadam…

– A za jaką przepadasz?

– No jak to: jaką? Rewolucyjną! W końcu właśnie obchodziliśmy rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej! „Pędzi pociąg historii, błyska stulecie-semafor. Rewolucji nie trzeba glorii, nie trzeba szumnych metafor”…

– Już starczy, bo nas zamkną za propagowanie komunizmu. Wracam na bezpieczne wody: jest też drugi powód przeglądania fotografii – muszę wybrać kilkadziesiąt do mojej biografii. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to trudne. Najgorsze są zbiorowe, bo zawsze ktoś ma albo zamknięte oczy, albo głupią minę, albo za dużo zmarszczek… Na pierwszy rzut oka wszystkie się podobają, a po chwili żadne.

– To jak z miłością: jaki jest sposób na miłość od pierwszego wejrzenia? Spojrzeć jeszcze raz.

– Zaraz, zaraz, to może katoprawica tak ostro sprzeciwia się równości małżeńskiej, bo nie chce narażać LGBT-ów na rozwody? A adopcji dzieci zakazuje, żeby się nie musieli tłumaczyć, dlaczego nie mają, choć grozi nam wyludnienie.

– Kotki i psiecka nie zastąpią ci dziecka...

– Słucham?

– A widzę, że telewizji Republika się nie oglądało w dzień święta narodowego.

– Toć mówię, że oglądałam zdjęcia…

– Był to transparent, który jakiś demograficzny alarmista wywiesił na trasie Marszu Niepodległości. I otóż chciałam powiedzieć, że w zupełności się zgadzam. Zwierzęta domowe nie zastępują dzieci, albowiem dzieci nie wymagają zastąpienia. To tak jakby powiedzieć: karnet do filharmonii nie zastąpi podagry.

– Niebanalne skojarzenie…

– Doceń, że nie powiedziałam „trypra”. Kobiety nie mają dzieci, albowiem nie chcą ich mieć. I tych niechcianych dzieci nie muszą niczym zastępować, albowiem brak dziecka nie oznacza wakatu na stanowisku sensu w życiu.

– Dobry aforyzm, aż żałuję, że nie mój. A wiesz, dlaczego nie chcą? Jaka była najczęstsza odpowiedź w sondażu, w którym zapytano bezdzietne kobiety, dlaczego nie mają dzieci? „Bo nie lubię dzieci”.

– I to się, dodajmy, nie zmienia z wiekiem – wbrew pronatalistycznej propagandzie prawicy. Mamy do spółki prawie 130 lat. Czyli ponad 68 milionów minut. I ani jednej z nich nie poświęciłyśmy na żałowanie, że nie mamy dzieci.

– Za to miewamy psy…

– Jak dowiaduję się z twojej książki: niezliczone…

– No nie, ja potrafię je zliczyć. Bez najmniejszego trudu: szpic Kukuś, pekińczyk Szlemik, doberman Drink, dwa jamniki Florki, ale nie razem, tylko jeden po drugim, pinczer średni Budrys, mastif neapolitański Maks i potem jeszcze dwa takie same molosowate potwory naraz: Anuszka i Iwan. Ta ostatnia trójka ze schroniska. Bardzo mi ich brakuje, ale już ani nie czas, ani nie warunki na kolejne psiecko. Może gdybym rzuciła politykę, nie tworzyła partii i nie jeździła jak szalona po Polsce, ale nie rzucę. Namiastką są filmiki z psami na TikToku. Mają cudowny dubbing. Jest na przykład suczka, która skarży się na panią: „Jak idę za wolno – do weterynarza, za szybko – do weterynarza, kichnę – do weterynarza”…

– Ja miałam tylko dwa i oba mnie porzuciły. Hint wyprowadził się do tatusia, a Holka do koleżanki. Może za rzadko je prowadzałam do „weterynarza”, czuły się niezadbane. Wracając do patriotycznych uniesień: cokolwiek mnie zdegustował jeden koleś z Tefałenu, który z dumą ogłosił, że „wszystkich swoich gości dziś o to pyta” – po czym profesora od cieków wodnych i ekonomistkę od służby zdrowia zapytał, „za co kochają Polskę”. Zaraz mi się przypomniał dowcip z PRL. Temat maturalny: „Kto jest twoim idolem i dlaczego Lenin”.

– Rozumiem, że nie kochasz Polski?

– Jednym słowem: nie. Kochanie Polski jest jak kochanie Boga…

– No nie do końca. Polska istnieje.

– Tu mnie masz. Ale istnieje jako organizacja polityczna i obszar geograficzny – i ani jedno, ani drugie nie budzi we mnie miłości. Ani dumy, skoro już się tak zgadało. Generalnie, jeśli chodzi o mój stosunek do patriotyzmu, to waha się między tezą Oscara Wilde'a, że patriotyzm jest cnotą ludzi nikczemnych, oraz zauważeniem Samuela Johnsona, że stanowi ostatnie schronienie łajdaka.

– Do wielu ludzi, zwłaszcza polityków, bardzo pasują, ale jako ekonomistka intelektualnie podzielam opinię, że patriotyzm jest funkcją biedy. Wszak ludzie bogaci, a zwłaszcza bardzo bogaci, są obywatelami świata. Nawet jeśli zatęsknią za ojczyzną, w ciągu kilku lub kilkunastu godzin mogą się w niej znaleźć. A przecież ojczyznę odczuwamy jak zdrowie, czyli nie cenimy, dopóki nie stracimy. Nigdy nie byłam tak długo poza Polską, żeby za nią zatęsknić, ale nie wykluczam takiej możliwości, bo mój patriotyzm to miłość do języka, a ojczyzna – polszczyzna. Widzę na co dzień, że bolą cię nieudolne, prostackie wypowiedzi i kaleczenie polskiego, więc może też jesteś językową patriotką.

– Może. Ale myślę sobie samokrytycznie, że jestem uzależniona od polszczyzny, bo choć mniej więcej znam ze cztery języki, to w żadnym nie byłabym w stanie pisać, tak jak piszę po polsku. A nic innego nie umiem poza pisaniem. Czym potwierdzam twoją tezę: mój ewentualny językowy patriotyzm też jest funkcją biedy, bo gdzie indziej nie miałabym z czego żyć.

– Bo ja mam zawsze rację.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl bcb600a0bd